# ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 12 Grudzień 1932 r. ROK IX.

**Zwracamy uwagę na zmianę adresu!**

WARUNKI PRENUMERATY

„ECH LEŚNYCH"

| | Zwyczajnej Zł. gr. | Ulgowej (dla czł. Zw. Leśników) Zł. gr. |
|---|---|---|
| Kwartalnie . . . | 4.— | 3 — |
| Półrocznie . . . . | 7.50 | 5.50 |
| Rocznie . . . . . | 14.— | 10.50 |
| Zagranicą kwartalnie | 6 50 | 5.50 |

Cena numeru pojedyńczego **1 zł. 40 gr**

**KONTO CZEKOWE**

P. K. O. Nr. 5.755.

**Adres: Warszawa, Żórawia Nr 13**

**Telefon: 9-44-41**

Cena 1 zł. 40 gr.

# ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, ŻÓRAWIA 13. TELEFON 9-44-41.

Rok IX Warszawa, Grudzień 1932 r. Nr. 12



*Noc wigilijna w Warszawie*

# MILITARYZACJA LEŚNIKÓW

Aktualną i nadzwyczaj ciekawą sprawę poruszył p. Koczur - Rutkowski w numerze listopadowym „Ech Leśnych".

Organizacja wojskowa leśników francuskich z roku 1909, sądząc z artykułu p. m-ra Rutkowskiego, była świetna. Została ona tak wszechstronnie opracowana, że za wzór może służyć dzisiaj nam w Polsce.

Rola leśników w wojsku wogóle jest znana od dawna. W Rosji carskiej były znane „ochotniczji komandy", to jest oddziały myśliwskie, rekrutujące się przeważnie z leśników. To samo mniej więcej było i w Niemczech. Tam istniały „bataljony jegrów". Pozatem oddziały wywiadowcze — „razwiedocznyja komandy" w b. Rosji, używane do rekonesansu w czasie wojny, zwykle formowały się z leśników.

Jednak formacje wojskowe leśników we Francji były, mojem zdaniem, o wiele lepsze, niż w Rosji i Niemczech.

Obrona granic i całości Państwa naszego, mającego niekorzystne pod względem strategicznym rubieże, w braku zapor naturalnych, wymaga tworzenia nie drobnych oddziałów specjalnego przeznaczenia podczas wojny, a posiadania już w czasie pokoju kadr należycie wyćwiczonych wojsk o charakterze pomocniczym, jako wzmocnienie sił większych, a które mogą być rzucone jako awangarda w razie potrzeby na tereny pograniczne, obfitujące w lasy i bagna. Takiemi kadrami mogą być tylko oddziały leśników.

Zmilitaryzowanie leśników państwowych jest pożądane i pod względem rygoru ochrony lasu podczas pokoju, co niewątpliwie usprawni i podniesie poziom obowiązku w służbie, subordynację i dyscyplinę, co zresztą sami leśnicy wyżsi z konieczności służbowej wprowadzają już teraz.

Będą oczywiście głosy i przeciwne temu. Lecz pochodzić one będą z obozu zniewieściałych jednostek, które nie rozumieją dobra lasu i bezpieczeństwa Państwa.

Oby takich głosów było jak najmniej.

*B. Zarzycki.*

## ODZNACZENIA W SŁUŻBIE PAŃSTWOWEJ LEŚNEJ

Z okazji rocznicy niepodległości P. Prezydent Rzplitej nadał leśnikom państwowym następujące odznaczenia.

### KRZYŻ KAWALERSKI ORDERU ODRODZENIA POLSKI

*Stanisławowi Modzelewskiemu,* leśnikowi, kierownikowi Dyrekcji Lasów Państwowych w Białowieży, za zasługi w administracji lasów państwowych.

### ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI

*Marjanowi Nagabczyńskiemu,* inspektorowi lasów państwowych w Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, za zasługi na polu odnowienia lasu i sfinansowania produktów leśnych, oraz na polu pracy społecznej.

*Janowi Piotrowi Kosce,* radcy ministerjaln. w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, za zasługi w dziedzinie oświaty i propagandy leśnictwa.

Za zasługi na polu administracji lasów państwowych:

pp.: *Wacławowi Biluchowskiemu,* inspektorowi lasów państwowych w Warszawie, — *Józefowi Buczackiemu,* inspektorowi lasów państwowych w Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie, — *Leonowi Huszczy,* inspektorowi lasów państwowych w Wilnie, — *Wacławowi Jerzykiewiczowi,* radcy administracyjnemu w Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu, — *Karolowi Antoniemu Mrozowskiemu,* radcy administracyjnemu Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu, — *Mieczysławowi Sarosiekowi,* inspektorowi lasów państwowych w Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie, — *Franciszkowi Szkiłądziowi,* radcy administracyjnemu w Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie.

### SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI

za wyjątkowo gorliwą i owocną pracę w administracji lasów państwowych

pp.: inż. *Karolowi Garwaczyńskiemu,* adjunktowi leśnemu Nadleśnictwa Sarniagóra, powiatu świeckiego, — *Anastazemu Iwickiemu,* referendarzowi Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, — *Alfredowi Jagasowi,* nadleśniczemu Nadleśnictwa Podmiejskiego powiatu suwalskiego, — *Władysławowi Jankowskiemu,* naczelnikowi kancelarji w Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, — *Janowi Kostrowickiemu,* asesorowi w Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie, — *Stefanowi Łusakowskiemu,* nadleśniczemu w Nadleśnictwie Jedlnia powiatu radomskiego, — *Stefanowi Michalewskiemu,* nadleśniczemu w Nadleśnictwie Radoszyce, powiatu końskiego, — inż. *Gustawowi Patkowi,* nadleśniczemu Nadleśnictwa Bolechów i kierownikowi państwowej szkoły dla leśniczych w Bolechowie powiatu dolińskiego, — *Stanisławowi Tomkiewiczowi,* nadleśniczemu lasów państwowych Nadleśnictwa Koło.

### BRONZOWY KRZYŻ ZASŁUGI

za zasługi w służbie ochrony lasów

pp.: *Adamowi Billowi,* gajowemu w Nadleśnictwie Jaremcze, — *Feliksowi Gontowskiemu,* starszemu gajowemu w Nadleśnictwie Smyga, — *Władysławowi Kuminkowi,* starszemu gajowemu w Nadleśnictwie Łąck, powiatu gostynińskiego, — *Stefanowi Orlikowskiemu,* leśniczemu leśnictwa Bachorze w Nadleśnictwie Klosnowie, powiatu chojnickiego, — *Stanisławowi Rauluszkiewiczowi,* leśniczemu Nadleśnictwa Krasnopol, powiatu suwalskiego, — *ś. p. Franciszkowi Skrzypczakowi,* gajowemu Nadleśnictwa Wanda Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu.

### OFIARY

Koło Rybnik Zw. Zaw. Leśn. Oddział Śląski wpłaciło na rzecz budowy Polskiego Gimnazjum w Bytomiu zł. 23.25.

*Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU, SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM NASZYM WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM.*

*REDAKCJA*

# NOWELIZACJA PRZEPISÓW O OCHRONIE LASÓW

W jednym z ostatnich numerów Dziennika Ustaw ogłoszona została nowela do rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 24 czerwca 1927 r. o zagospodarowaniu lasów, niestanowiących własności Państwa. Ponieważ zmiany, wprowadzone w dotychczasowych przepisach regulujących dziedzinę ochrony lasów prywatnych, są dość liczne i mają doniosłe znaczenie praktyczne, pragnęlibyśmy zapoznać z niemi naszych Czytelników. Omówimy je więc, przeciwstawiając poszczególne postanowienia noweli dotychczasowym przepisom.

Pierwsza zmiana nastąpiła już w samej nazwie rozporządzenia, które odtąd nosić będzie tytuł „rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 24 czerwca 1927 r. o **ochronie** lasów, niestanowiących własności Państwa". Jak widzimy „zagospodarowanie" zastąpiono „ochroną". I słusznie. Przywykliśmy przecież mówić o o c h r o n i e lasów, a przepisy tego rozporządzenia dążą właśnie do tej ochrony, nie zapominając o oczywiście także o racjonalnem zagospodarowaniu lasów. Ale zagospodarowanie — to jeszcze nie wszystko. Wprowadzenie więc odrazu w tytule szerszego pojęcia ochrony lasów lepiej oddaje treść tego rozporządzenia.

Zanim przejdziemy do omówienia poszczególnych przepisów noweli, należy w kilku słowach scharakteryzować cel, do którego dąży ta nowelizacja. A więc chodziło z jednej strony o złagodzenie tych wszystkich przepisów, które przez swą zbytnią rygorystyczność krępowały niepotrzebnie inicjatywę i samodzielność gospodarczą właścicieli lasów, z drugiej zaś strony o uczynienie z ochrony lasów instytucji realnej i skutecznej oraz o usprawnienie władz ochrony lasów. Pod tym kątem widzenia nowela została opracowana i spodziewać się należy, że osiągnie swój cel w życiu praktycznem.

Według dotychczasowych przepisów wolno było użytkować lasy jedynie na podstawie zatwierdzonych przez władze ochrony lasów planów urządzenia gospodarstwa leśnego lub programów gospodarczych. Zasada ta, jakkolwiek może bardzo wzniosła z punktu widzenia wyłącznie ochrony lasów, była niesłychanie uciążliwa nietylko dla władz, ale przedewszystkiem dla właścicieli małych lasów i dlatego nie wytrzymała próby życia. Lasy drobnej własności obejmują około 700 tysięcy ha i dzielą się na przeszło 300 tysięcy jednostek, należących do tyluż właścicieli. Przeciętnie więc na jednego właściciela przypada około 2 do 2½ ha lasu. Jasnem przeto jest, że 60 komisarzy ochrony lasów (a tylu mamy we wszystkich obwodach) nie było w stanie wykonać pracy, związanej z badaniem i zatwierdzaniem programów, gdyby istotnie, jak tego wymagała ustawa, wszyscy właściciele drobnych lasów programy przedstawili. Zdarzyło się rzeczywiście, że na skutek agitacji jednego z komisarzy ochrony lasów włościanie w jego obwodzie zaczęli masowo składać programy i w ciągu dwóch tygodni komisarz ten otrzymał kilkaset programów. Co robić? zbadanie wszystkich tych programów zajęłoby przynajmniej rok czasu. A przecież pozatem jest i inna praca i inne lasy do nadzorowania. Nie pozostało nic innego, jak zatwierdzać te programy bez badania. I cóż się przez to praktycznie osiągnęło? Przykład ten, a takich było więcej, najlepiej wykazał nieżyciowość przepisu, żądającego od najdrobniejszego nawet właściciela lasu składania programu. Zresztą w praktyce włościanie, o ile mają dostateczną ilość ziemi ornej, lasków swych nie dewastują. Rąbią naogół tylko tyle, ile im potrzeba na opał, naprawę narzędzi, reperację budynków i t. p. i mimo wszelkie przepisy rąbią bez programów. Taki stan rzeczy musiał powodować albo patrzenie przez palce na te wyręby bezprawne, albo też nakładanie kar na ludzi, którzy w żaden sposób nie mogli zrozumieć poco obarcza się ich obowiązkiem składania programów gospodarczych, nawet na najdrobniejsze wyręby. Jedno i drugie było zjawiskiem szkodliwem. Patrzenie przez palce na nieprawne wyręby podważało poszanowanie prawa u szerokich mas ludności, karanie zaś wywoływało rozgoryczenie i utyskiwanie na nieżyciowe przepisy i nieracjonalne postępowanie władz. — Niedomagania te usunął przepis noweli pozwalający na użytkowanie lasów mniejszych niż 30 ha, w województwach wschodnich zaś mniejszych niż 50 ha, bez sporządzania programów gospodarczych z tem wszakże ograniczeniem, że wyręby zrębami czystemi przekraczające 1 ha rocznie muszą być przez właściciela uprzednio zgłoszone starośćie, który w ciągu 2 miesięcy może ich zabronić. Odtąd przeto każdy właściciel małego lasu będzie mógł bez żadnych formalności zaopatrywać się ze swego lasu w potrzebne mu w niedużych ilościach drewno użytkowe i opałowe. Jeżeli jednak będzie chciał wyrąbać w jednym roku więcej niż 1 ha, będzie musiał o swym zamiarze zawiadomić starostę. Jeżeli starosta w ciągu 2 miesięcy nie zabroni mu zamierzonego wyrębu, właściciel, odczekawszy upływ tego terminu, będzie mógł dokonać wyrębu. Wyrąbany obszar będzie musiał oczywiście zalesić, niewolno go bowiem bez specjalnego zezwolenia wykarczowywać i zmienić na inny rodzaj użytkowania. Obowiązek zgłaszania wyrębów ponad 1 ha rocznie nie obarcza zbytnio właścicieli małych lasów, nie pociąga bowiem za sobą żadnych kosztów, gdyż doniesienia takie nie podlegają opłacie stemplowej. Możność zaś zabronienia większych wyrębów przez starostę zapewnia mu kontrolę także nad późniejszem zalesieniem wyrąbanych obszarów.

Ponieważ małe lasy zwolnione są od obowiązku zagospodarowania według planów lub programów, przeto w przyszłości tylko lasy większe niż 30 wzgl. 50 ha będą musiały posiadać plany lub programy. Programy obowiązkowe są dla lasów od 30 do 149 ha, w województwach wschodnich od 50 do 249 ha, większe lasy muszą już być zagospodarowane na podstawie planów urządzenia gospodarstwa leśnego. Zaznaczyć jednak należy, że o ile małe lasy uznane są za lasy ochronne lub też obciążone służebnościami, muszą być zagospodarowane według programów gospodarczych.

Niewątpliwie prawidłowa gospodarka leśna leży we własnym dobrze zrozumianym interesie właścicieli lasów, a izby rolnicze, zrzeszające jako samorząd gospodarczy właścicieli ziemskich, powołane są do współdziałania z władzami w zakresie ochrony lasów i racjonalnem ich zagospodarowaniu. Z tego wychodząc założenia postanawia nowela, że w lasach, które zagospodarowane są na podstawie planów lub programów sporządzonych przez izby rolnicze i w których gospodarka cała prowadzona jest pod kontrolą tych izb, nie potrzeba już uzyskiwać zatwierdzenia planów przez władze ochrony lasów. Przepis ten nietylko ma na celu odciążenie władz, lecz przedewszystkiem przyciągnięcie do współpracy organizacyj, w których zrzeszeni są właściciele ziemscy. Zaznaczyć wszakże należy, że przepis ten stosowany będzie dopiero wtedy, gdy Minister Rolnictwa i Reform Rolnych specjalnem zarządzeniem upoważni poszczególne izby rolnicze do sporządzania planów i do wykonywania kontroli nad gospodarką w lasach prywatnych.

W myśl dotychczasowych przepisów właściciel lasu, który złożył władzy plan lub program do zatwierdzenia, mógł po upływie 2 miesięcy rozpocząć przewidziane w planie czynności gospodarcze, a więc wyręby, tylko w tych rozmiarach, jakie mu wskazała władza przed upływem tego terminu. Jeżeli zaś nie otrzymał od władzy żadnych wskazówek, mógł wprawdzie rozpocząć wyręby w planie przewidziane w całości, lecz musiał ich zaniechać, jeżeli władza planu nie zatwierdziła, lub też przy zatwierdzeniu wprowadziła do planu takie zmiany, które stały w sprzeczności z podjętymi już wyrębami. Taki stan prawny był wysoce niedogodny dla właścicieli lasów, ponieważ władza, nie mogąc w stosunkowo krótkim czasie ustalić właściwego rozmiaru wyrębów, albo ustalała go na przesłankach teoretycznych i ze szkodą dla właściciela określała go zazwyczaj znacznie niżej, niż na to pozwalał stan lasu, albo też właściciel, podjąwszy wyrąb, musiał go w wyniku decyzji władzy co do zatwierdzenia planu często zaprzestać, gdyż był on niezgodny z decyzją. Zwykle zaś wyrąb był rozpoczynany przez właściciela po uprzedniem zawarciu umowy na sprzedaż drewna, a właściciel nie mógł dotrzymywać swych zobowiązań i musiał ponosić nieraz bardzo poważne konsekwencje za niedotrzymanie umowy. Istotną poprawę oznacza więc przepis noweli, który właścicielowi lasu, w razie nieotrzymania w ciągu 2 miesięcy decyzji co do zatwierdzenia planu, pozwala dokonać wyrębu w granicach jednorocznego etatu, wynikającego z przedstawionego do zatwierdzenia planu. Sytuacja więc jest jasna i właściciel nie potrzebuje się już obawiać żadnych niespodzianek, które mu dotąd przynosiło zatwierdzenie planu w zmienionej formie. Wie on z góry, jaką ilością drewna może dysponować i do tego można dostosować swoje zobowiązania.

Uciążliwym dla właścicieli lasów był często również przepis, wymagający uzyskania uprzedniej zgody władzy na każde odstąpienie przy eksploatacji lasu od zatwierdzonego planu. Interes właściciela wymagał, szczególnie w dobie kryzysu, możności szybkiego dostosowania się do panujących na rynku drzewnym konjunktur, przeważnie zmiennych i krótkotrwałych. Dostosowanie takie polega na możności wyrąbania w danym czasie bądź innego rodzaju bądź

innego gatunku drzewa, aniżeli przewiduje w danym roku zatwierdzony plan. Obecnie wolno będzie właścicielowi bez uprzedniej zgody władzy zmienić w gospodarstwie zrębowem kolejność wyrębu poszczególnych etatów rocznych, a więc wyrąbać np. zamiast poręby nr. 2 porębę nr. 7. Taka zmiana da mu często możność wyrąbania poszukiwanego w danym czasie na rynku materjału drzewnego i podniesienia w ten sposób dochodowości swego lasu.

Zdarza się, że lasy nie mają planu lub programu bądź z tego powodu, że dawny już wygasł lub został unieważniony, a nowego właściciel jeszcze nie sporządził, bądź też dlatego, że właściciel nie użytkuje swego lasu, wskutek czego sporządzenie planu nie jest bezwzględnie koniecznem. W tych warunkach nie wolno prowadzić żadnych wyrębów i władza nie miała również prawa udzielić zezwolenia na jakikolwiek wyrąb. W praktyce jednak zachodzą wypadki, że właściciel musi wziąć z lasu pewną ilość drewna na szczególnie ważne i pilne potrzeby gospodarcze, jak np. odbudowę spalonych budynków i nie może czekać na sporządzenie i zatwierdzenie planu, co trwa zawsze kilka miesięcy. Tak samo nieraz interes publiczny, jak naprawa i budowa mostów, wież triangulacyjnych i t. p. wymaga wyrąbania potrzebnej ilości drzewa z najbliżej położonego lasu. We wszystkich tych wypadkach wyrąb po dyktowany jest koniecznością życiową i ustawodawca musi się z tem liczyć. Wprowadzono przeto przy nowelizacji przepis, który umożliwia władzy ochrony lasów udzielenie w takich wypadkach zezwolenia na wyrąb drzewa bez planu lub programu, jednak tylko w granicach jednorocznego etatu, dopuszczalnego dla danego lasu.

Dotychczasowe przepisy uprawniały właścicieli do użytkowania lasu bez planu lub programu tylko wtedy, gdy chodziło o usunięcie wywrotów, złomów i posuszu, a więc użytków przygodnych lub też o wyrąb takich drzew, które trzeba było usunąć przy sporządzaniu planu lub programu, jak np. drzewa modelowe. Obecnie uprawnienia te rozszerzono także na czyszczenia oraz na drewno opałowe i porządkowe, określając przytem jako czyszczenia tylko wyręby w drzewostanach do lat 20, uzasadnione wymaganiami hodowli lasu, odnośnie zaś drewna opałowego i porządkowego ustalajac, że wolno pobrać je z lasu tylko w ilości niezbędnej dla zaspokojenia potrzeb gospodarstwa domowego właściciela i jego pracowników, oraz dla naprawy narzędzi i sprzętów gospodarczych. Niewolno będzie zatem właścicielowi pod tą postacia pobrać z lasu drewno potrzebne np. dla opalenia gorzelni, jak również byłoby przekroczeniem dozwolonych granic pobranie drewna bez planu lub programu np. dla naprawy płotów lub budynków gospodarczych. W wymienionych przykładach będzie musiał, nie mając planu, uzyskać specjalne zezwolenie, o którem mówiliśmy poprzednio.

W inny niż dotychczas sposób po stawiona jest kwestja zalesienia gruntów leśnych, które ze względu na swe właściwości przyrodnicze (grunty zabagnione) nie mogą być zalesione bez zmiany tych warunków przyrodniczych drogą kosztownych i nieraz na szeroką skalę zakrojonych meljoracyj. Dotąd ustawodawca traktował grunty takie narówni z wszystkiemi innemi gruntami leśnemi i właściwie władza powinna była wydawać nakazy zalesieniowe mimo, że było one niewykonalne, przynajmniej na razie. Jeżeli władza takich nakazów nie wydawała, to przez to powstawał pewnego rodzaju stan bezprawny, gdyż ustawa nie była wykonywana ani przez władze ani też przez obywatela. Obecnie starosta uprawniony został do zwalniania takich gruntów na pewien określony przeciąg czasu od obowiązku zalesienia, jeżeli właściciel złoży taki wniosek. W wyniku zaś takiego zwolnienia grunty te nie potrzebują być objęte planem lub programem gospodarczym, gdyż wystarczy dołączenie ich wykazu. Gruntów tych nie bierze się również pod uwagę przy ustalaniu obszaru lasu, podlegającego obowiązkowi zagospodarowania według planu lub programu. Jeżeli więc właściciel w jednem z województw wschodnich posiada 300 ha gruntów leśnych, z których jednak 260 ha zostało na okres dziesięcioletni zwolnione od obowiązku zalesienia, wtedy może on gospodarować na reszcie bez planu lub programu, gdyż po odliczeniu gruntów zwolnionych pozostaje mu tylko 40 ha, na których może gospodarować bez programu.

Dotychczasowe przepisy dawały władzom ochrony lasów możność udzielania zezwoleń na zmianę rodzaju użytkowania gruntów leśnych między innemi w wypadku zaofiarowania przez właściciela ekwiwalentu w postaci trzyletnich upraw sztucznych na przynajmniej takim samym obszarze innych użytków. Rozpoczynając przeto zalesienie terenów, które dopiero po trzech latach mógł zaofiarować jako ekwiwalent, właściciel ponosi ryzyko, czy uzyska zezwolenie na zmianę rodzaju użytkowania. Władza bowiem mogła mu zawsze, a więc nawet mimo zalesienia odpowiedniego obszaru innych gruntów, zezwolenia odmówić. Obecnie przepisy w tym względzie zostały zmienione w ten sposób, że właściciel, który wystąpi z wnioskiem o zezwolenie na zmianę rodzaju użytkowania pewnego obszaru leśnego i zaofiaruje jednocześnie gotowość zalesienia ekwiwalentu, otrzyma albo odmowne orzeczenie i wtedy nie będzie również prowadził żadnych za lesień, albo też otrzyma zezwolenie na zmianę rodzaju użytkowania, z którego jednak korzystać t. j. rozpocząć wyrąb i karczunek drzewostanów, będzie mógł dopiero po upływie trzech lat od faktycznego zalesienia ekwiwalentu i po stwierdzeniu przez władzę, że nowopowstałe drzewostany na obszarze ekwiwalentu wykazują dostateczną zdolność do dalszego wzrostu.

Omówiliśmy te przepisy noweli, które mają na celu złagodzenie zbyt rygorystycznych przepisów dotychczasowych i dostosowanie ich do życia praktycznego i jego wymagań. Przechodzimy teraz do tych postanowień nowych, które wypełniają istniejące luki i niedomagania z punktu widzenia skutecznej ochrony lasów.

Ujawniająca się w ostatnich latach tendencja do parcelacji większych lasów bez zmiany rodzaju użytkowania t. j. do sprzedawania ich w drobnych działkach ludności włościańskiej, a także przepis noweli, pozwalający na użytkowanie mniejszych lasów bez planów i programów, wymagały zabezpieczenia większych lasów przed szkodliwem, z punktu widzenia ochrony lasów, ich rozdrabnianiem, które w konsekwencji — jak wykazała praktyka — prowadzi nieuchronnie do wyniszczenia ich w krótkim czasie. Jest rzeczą ogólnie znaną, że kupując działki leśne, włościanie w krótkim czasie zaczynają je wyrąbywać i karczować dla uzyskania potrzebnych im gruntów ornych. Nie pomogą tu żadne zakazy i kary. Nie poto bowiem zwykle włościanin kupuje działkę, by na niej hodować las, lecz poto, by powiększyć swój niedostateczny warsztat rolny, lub też założyć nowy. Ponieważ zaś w gospodarce krajowej lasy mają doniosłe znaczenie, przedewszystkiem zaś większe lasy, gdyż tylko na większych obszarach może być prowadzona racjonalna gospodarka leśna, przeto koniecznem jest z punktu widzenia interesu publicznego chronić większe lasy przed grożącą im zagładą. Czyni się to przez uzależnienie parcelacji większych lasów na działki mniejsze niż 30 ha, w województwach wschodnich mniejsze niż 50 ha, od uzyskania uprzedniego zezwolenia wojewody. Wszelkie zaś kontrakty i inne akty prawne, spisane bez takiego zezwolenia, są z mocy samego prawa nieważne. Nie potrzeba uzyskiwać zezwolenia na podział lasu tylko wtedy, gdy chodzi o działy rodzinne lub spadkowe albo też o dziele nie obszarów otrzymanych jako wynagrodzenie zasłużebnościowe albo wreszcie o podział wspólnot.

Obostrzeniem dotychczasowych przepisów jest również wprowadzenie konfiskaty bezprawnie wyrąbanego drewna. Kilkoletnia praktyka dowiodła jednak, że wysokie grzywny, jakie przewidywały dotychczasowe przepisy, są niewystarczające dla ukrócenia bezprawnych wyrębów. Ludzie niesumienni i notoryczni dewastatorzy potrafili znaleść sposoby obejścia prawa, że ich niszczycielska działalność uchodziła prawie bezkarnie i opłacała im się sowicie. Wprowadzenie zaś konfiskaty da władzom ochrony lasów skuteczny środek do zwalczania bezprawnych wyrębów. Konfiskata taka istniała przed wejściem w życie rozporządzenia z 1927 r. o zagospodarowaniu lasów w. b. zaborach rosyjskim i austrjackim. Niewprowadzenie jej do wspomnianego rozporządzenia okazało się błędem, który teraz naprawiono. Wiedząc bowiem, że nie doczeka się korzyści z bezprawnego wyrębu, bo drzewo zostanie mu skonfiskowane, nikt poważniejszych bezprawnych wyrębów nie ryzykuje, bo musi się zawsze liczyć z tem, że zanim zdąży drzewa się pozbyć, władza się o tem dowie i mu je skonfiskuje. Podnieść należy, że konfiskata stosowana będzie także wtedy, gdy drewno, pochodzące z bezprawnego wyrębu, przeszło już na własność innej osoby, lecz w chwili sprzedaży znajdowało się jeszcze w lesie. Skonfiskowane drewno sprzedawane będzie w drodze publicznego przetargu.

W końcu wspomnieć jeszcze należy, że przez przeniesienie szeregu spraw z kompetencji wojewody do kompetencji starosty, a także przez uwolnienie postępowania w sprawach leśnych od zbytniego balastu formalności, które niepotrzebnie przedłużały załatwianie spraw, nowela dąży do usprawnienia władz ochrony lasów, których postępowanie opierać się będzie obecnie na ogólnie w postępowaniu administracyjnem obowiązujących przepisach.

*Dr. Teodor Swinarski,*
Naczelnik Wydziału Leśnictwa
Ministerstwa Roln. i Reform Roln.



*Prastary dąb we wsi Porzecze pod Druskienikami.*



*Głaz - olbrzym koło wsi Szandubra pod Druskienikami.*

Fot. R. Kinle.

# SEKCJA LEŚNICTWA NA ZJEŹDZIE LEKARZY I PRZYRODNIKÓW

W dniach od 12 do 15 września 1933 roku odbędzie się w Poznaniu XIV Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich.

Zjazdy Lekarzy i Przyrodników Polskich, odbywające się co kilka lat, a zapoczątkowane jeszcze za czasów okupacji Rzeczypospolitej przez trzy mocarstwa, posiadają już swoją tradycję i zaszczytne stanowisko w historji rozwoju i organizacji nauki, są też zasłużenie każdorazowo świętem nauki polskiej we wszystkich jej dziełach, mających związek z naukami przyrodniczemi.

Leśnictwo, jako umiejętność praktyczna, opierająca się całkowicie na naukach przyrodniczych, podobnie jak medycyna, rolnictwo i t. p., zawsze brało udział, w tej lub innej formie, w Zjazdach Lekarzy i Przyrodników Polskich, w XIV-tym jednak Zjeździe weźmie ono udział po raz pierwszy jako odrębna Sekcja Leśnictwa, przez co podkreślonem zostanie zorganizowanie polskiej nauki leśnictwa, mającej oparcie przedewszystkiem w trzech uczelniach leśniczych typu akademickiego oraz znaczenie leśnictwa w gospodarczem i społecznem życiu kraju.

Z tego względu XIV-ty Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich, poza swojem znaczeniem ogólnem, ma dla nas — leśników polskich — znaczenie specjalne, a obowiązkiem i troską nas wszystkich, tak przedstawicieli polskiej nauki leśnictwa, jak i instytucyj i organizacyj państwowych i społecznych leśniczych, powinno być, aby Sekcja Leśnictwa Zjazdu odpowiedziała godnie obecnemu stanowi leśnictwa w Polsce tak pod względem liczebnego udziału w niej członków, jak i pod względem zobrazowania w referatach i komunikatach obecnego stanu nauki leśnictwa w Polsce, podania wyników badań samodzielnych, przedstawienia najnowszych kierunków w nauce, oraz analizy zagadnień czysto praktycznych metodą naukową.

Jakkolwiek Zjazd z natury rzeczy zainteresuje przedewszystkiem leśników pracujących naukowo, niewątpliwie pociągnie on również leśników praktycznych o akademickim poziomie wykształcenia, którzy znajdą na nim możność odświeżenia i uzupełnienia swojej wiedzy, a ponadto możność wzajemnego poznania się i omówienia interesujących ich zagadnień.

Ze swej strony Komitet Organizacyjny Sekcji Leśnictwa przedsięwziął już kroki, aby zapewnić Zjazdowi dostateczną ilość poważnych referatów i komunikatów, ponadto projektowana jest wspólna jednodniowa wycieczka członków Sekcji do lasu, co da, między innemi, możność bliższego wzajemnego poznania się i swobodnej wymiany myśli.

Ponadto, o ile pozwolą na to środki, projektowane jest, niezależnie od ogólnego pamiętnika XIV-go Zjazdu, wydanie osobnego Pamiętnika Sekcji Leśnictwa, w którym znalazłyby się wszystkie referaty i komunikaty, streszczenia przemówień i t. d.

Podając o niniejszem do wiadomości publicznej, Komitet Organizacyjny Sekcji Leśnictwa XIV-go Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich, równocześnie:

1. prosi wszystkie instytucje i organizacje leśnicze, państwowe i społeczne, naukowe i zawodowe, o propagowanie Zjazdu i udziału w niem leśnictwa polskiego oraz o wszelką dostępną im pomoc;

2. wzywa leśników polskich i wszystkich interesujących się polską nauką leśnictwa do najliczniejszego udziału w Zjeździe;

3. prosi wszystkich pracowników naukowych z zakresu nauki leśnictwa i związanych z niem działów nauki o zgłaszanie referatów i komunikatów, przyczem komunikuje, że referaty i komunikaty powinny być przesłane nie później jak do 1 kwietnia 1933 roku w dwu egzemplarzach wykonanych pismem maszynowem, na ręce Komitetu Organizacyjnego Sekcji;



4. prosi o wczesne zgłaszanie do Komitetu Sekcji osobistego udziału w Zjeździe, a to w celu, aby następnie Główny Komitet Organizacyjny Zjazdu mógł rozesłać odpowiednie formularze, programy i t. p., oraz obliczyć potrzebną ilość kwater i t. p.;

5. komunikuje, że wszelkich bliższych wyjaśnień udziela Komitet Organizacyjny Sekcji w Poznaniu oraz jego członkowie pozamiejscowi p. prof. Stanisław Sokołowski w Krakowie, p. prof. Władysław Jedliński w Warszawie i p. prof. Aleksander Kozikowski we Lwowie.

Wszystkie czasopisma leśnicze, rolnicze, rolniczo-leśne i przyrodnicze, proszone są o łaskawe przedrukowanie niniejszego komunikatu.

Komitet Organizacyjny Zjazdu: Juljan Rafalski Przewodniczący, Ryszard Biehler, Władysław Jedliński, Aleksander Kozikowski, Witold Kulesza, Stanisław Sokołowski, Konstanty Stecki, Stefan Studniarski, Tadeusz Wielgosz.

## O LASY PODMIEJSKIE

Liga Ochrony Przyrody w Polsce przy współudziale Warszawskiego Komitetu Państw. Rady Ochr. Przyrody, Oddz. Warszawskiego Polskiego Tow. Botanicznego, Polskiego Tow. Krajoznawczego, Polskiego Tow. Higjenicznego, Polskiego Przyrodniczego Tow. Pedagogicznego, Tow. Urbanistów Polskich, Polskiego Tow. Reformy Mieszkaniowej, Polskiego Tow. Leśnego, Związku Zaw. Leśników w R. P., Tow. Ogrodniczego Warszawskiego i Związku Towarzystw Przyjaciół Wielkiej Warszawy, urządziła w dniu 13 listopada r. b. konferencję w sprawie lasów podmiejskich.

Na program konferencji złożyły się odczyty: 1. Zagajenie. 2. Prof. B. Hryniewiecki — Lasy podmiejskie jako warsztat pracy naukowej i pedagogicznej. 3. J. Kloska — Stan lasów w okolicach Warszawy. 4. Dyr. T. Teoplitz — Korzyści i szkody, płynące z parcelacji. 5. S. Lenartowicz — Znaczenie turystyczne lasów podwarszawskich. 6. Inż. Z. Rudolf — Znaczenie lasów podmiejskich dla higjeny miasta. 7. Inż. T. Nowakowski — Lasy we współczesnej urbanistyce.

# SOJUSZ SPOŁECZEŃSTWA Z LASEM

Taką dewizę postawiły sobie „Echa Leśne". Jakżeż dalecy dziś jesteśmy od tej idei, gdy jedna część społeczeństwa, stykająca się z lasem, traktuje go, jako objekt dostarczający jedynie materjalnych korzyści, a druga, odgrodzona od lasu, nie zna jego zupełnie. Naturalnie, wyjątki są zawsze — (rzecz prosta leśników nie biorę w rachubę), lecz jak stosunkowo nieliczne!

A las, wyświadczając człowiekowi tyle dobrodziejstw, czy jako źródło materjalnych korzyści, czy też — jako niezbędny czynnik klimatyczny, wreszcie — jako ożywczy zdrój dla naszego zdrowia, psychiki i poczucia piękna (ujęła to wszechstronnie jednodniówka „Las"), wymaga wzamian od nas znajomości jego praw i szacunku dla siebie.

Część społeczeństwa, mieszkająca na wsi, w myśl oklepanego powiedzenia — „nie było nas — był las, nie będzie nas — będzie las", bezmyślnie eksploatuje, najczęściej, o ile się da, rabunkowo, wszystko to, co z lasu wydobyć można. Taki las, niszczony w swych naturalnych podstawach, przez brak należytej opieki nie rozwija się należycie, a nawet powoli karleje, bądź niknie.

To też racjonalna gospodarka leśna, ochraniając las przed świadomym czy bezmyślnym szkodnictwem, zamknęła wstęp do lasu, a przynajmniej go ograniczyła. Tym sposobem społeczeństwo miejskie, mając i tak utrudniony dostęp do lasu, wzięło z lasem zupełny rozbrat.

Raz w rok na Boże Narodzenie las wędruje do miast, zapełnia place, tworząc zwarte zagajniki, a potem pojedyńczo idzie do mieszkań. Lecz ta propaganda ma ujemną stronę, bo nie stwarzając znajomości lasu, szacunku dla niego nie uczy. Na kupieniu ściętej „choinki" (bez świadomości, naogół, — czy to sosna czy świerk, czy jodła) i kupnie drzewa na opał, kończy się kontakt przeważnej części miejskiego społeczeństwa z lasem.

Dziś, mając na uwadze dobro społeczeństwa, chcąc to społeczeństwo zbliżyć do lasu, musimy je z lasem zapoznać, a zarazem wpoić mu, jeżeli nie umiłowanie, to choćby poszanowanie dla flory i fauny leśnej. Tylko wtedy sojusz społeczeństwa z lasem zastąpi dotychczasowy system odgradzania lasu, bez szkody dla tego ostatniego.

Dla tego pięknego celu — uznania lasu, jako żywego pomnika przyrody, otoczonego pieczołowitością przez całe społeczeństwo — potrzebną jest propaganda i popularyzacja znajomości lasu na gruncie i w słowie żywem czy pisanem.

Lecz akcja samych „Ech Leśnych", ani garstka ludzi, działająca w tym kierunku, nie wystarczą, zato ogół leśników, każdy na swoim terenie, mógłby wielce prędszemu wcielaniu tej idei dopomóc.

Jeżeli starszemu pokoleniu na wsi trudno, dla braku kultury, wdrożyć inne ustosunkowanie się do lasu, to trzeba pomyśleć o młodem, które wzrasta w szkole. Poruszałem już ten temat w artykułach w sierpniu i grudniu zeszłego roku (O lasy dla Warszawy, Twórzmy lasy podmiejskie).

Leśnicy powinni wyjść z dotychczasowego odosobnienia i wejść w bliższą styczność ze społeczeństwem. Trzeba temu ostatniemu mówić i pisać o lesie, a więc propagować, gdzie i jak kto może.

Radjo, gazeta, pogawędki w szkole, oprowadzanie wycieczek szkolnych i zapoznawania z życiem lasu, szkolne święto sadzenia lasu — oto najskuteczniejsza droga dla zbliżenia społeczeństwa do lasu.

W propagandzie ogromny nacisk trzeba przedewszystkiem położyć na radjo, które w miastach jest bardzo rozpowszechnione, a na wsi zwłaszcza w szkołach powszechnych. Dlatego też zdobycie większej ilości kwadransów dla propagandy lasu (akcja Ech Leśnych!) i planowe ich rozłożenie, trafienie przez miarodajne czynniki do władz szkolnych (radjowe kwadranse szkolne o lesie, święto sadzenia lasu) są najważniejszemi i najbliższemi zadaniami na rok nadchodzący.

— — — — — —

Jeżeli zaledwie drobna część społeczeństwa miejskiego zna choć trochę las latem, to jedynie znikoma cząstka (myśliwi), widziała las pod śnieżną okiścią. Chyba z wagonu. A przecież ta cudowna bajka zimowa, jaką natura tworzy w lesie, urok sanny w zaczarowanym labiryncie z oszronionych czy śnieżnych drzew i krzewów — czyż nie wart widzenia?

Zachwyt — to czynnik propagandy pierwszej klasy!

Las zimą jest o wiele mniej dostępny — to prawda, lecz takiemi samemi były do niedawna góry, a dziś sezon zimowy w górach rywalizuje z letnim pod względem frekwencji. Ludzie przestali się bać śniegu, a włożywszy na nogi narty, czy zjeżdżając na saneczkach, pokochali i mróz i śnieg.

Czy więc lasu zimą nie możnaby tak samo uprzystępnić dla miast, a choćby w święta czy niedzielę dla tych co są w dnie powszednie z miastem związani?

Pobyt zimą na powietrzu kojarzyć się musi z ciepłem domostw. Nie można bowiem po paro czy kilkodzinnym pobycie na śniegu bez rozgrzania myśleć o drodze powrotnej. Kwestja schronisk dla wycieczkowiczów przy większych objektach leśnych jest dziś jeszcze muzyką przyszłości (może i oby niedalekiej!), lecz czy leśnicy w obrębie swych domów nie mogliby pomyśleć o takim punkcie oparcia dla gości z miasta? Czyż leśnicy, goszczący napewno dziś latem letników, nie potrafiliby zachęcić ich do pobytu, choć krótkiego, u nich zimą. Ta garstka społeczeństwa stałaby się z kolei najlepszym propagatorem lasu zimą w mieście.

Dla leśników byłoby to, zresztą, połączone z pewną korzyścią materjalną.

Dziś do lasu zimą, poza myśliwymi, nikt nie jedzie, no bo to nie było w zwyczaju (to samo przed niewielu laty było z górami), a nikt nie myślał o stworzeniu takich warunków, któreby tę tradycję przełamały. Najtrudniej zawsze zacząć coś nowego — no, ale trzeba raz zapoczątkować, by wywalczyć wreszcie inne wzajemne ustosunkowanie się społeczeństwa, leśników i lasu.

Trzeba tylko chcieć!

*J. Milewski.*



# NA FRONCIE PROPAGANDY LASU I LEŚNICTWA

## AKCJA PROPAGANDOWA ZYSKUJE POPARCIE

Wychodząc z założenia, iż aby Echa Leśne mogły należycie pełnić swoją misję propagandową wśród społeczeństwa, trzeba najpierw mu stworzyć mocne podstawy przedewszystkiem przez samych leśników — P. Dyrektor lasów państwowych w Łucku wydał okólnik, który w wyjątkach poniżej przytaczamy:

„Dyrekcja prosi ze swej strony p. Nadleśniczego o wywarcie nacisku na podległy mu personel i zalecenie mu zaprenumerowania czasopisma „Ech Leśnych". Czasopismo „Echa Leśne" ze względu na swój charakter kulturalno-oświatowy, oraz wybitnie fachowy, powinno znaleźć się w domu każdego leśnika, który stoi na straży kultury leśnej. Bogata treść „Ech Leśnych" przyczyni się bezwątpienia nietylko do rozszerzenia horyzontów, zwłaszcza straży leśnej (gajowych) niosąc im wieści ze świata, ale przedewszystkiem swoim działem naukowym fachowo-leśnym podniesie ich poziom wiedzy fachowej; zwłaszcza, że obowiązki gajowych w związku z obecnemi wymaganiami nie ograniczają się tylko do służby ochronnej, przyjmować oni muszą bardzo czynny udział we wszystkich gałęziach gospodarki leśnej".

„Redakcja wspomnianego czasopisma wyjątkowo zgodziła się, żeby prenumeratorzy opłacali należność miesięcznie, t. j. po 1 zł. mies. W ten sposób wydatek taki nie zaciąży na budżecie prenumeratora, jak również uniknie się zaległości..

W końcu zaznacza się, że Redakcja „Ech Leśnych" ma zamiar od stycznia 1933 roku przekształcić omawiane pismo z miesięcznika na dwutygodnik, bez podwyższania dotychczasowej ceny (wówczas 1 egzem. kosztowałby 50 gr.). Uzależnione to jest jedynie od ilości prenumeratorów. Zatem, przedewszystkiem od nas, jako tych, którzy pracują w zawodzie leśnym zależy dalszy pomyślny rozwój tak pożytecznego czasopisma — jak „Echa Leśne".

Mam nadzieję, że nikogo z pośród podległego mi personelu tak Dyrekcji jak i Nadleśnictw nie zabraknie wśród prenumeratorów „Ech Leśnych".

Pamiętajmy o tem, że las polski jest jedną z ostoi dobrobytu Państwa naszego — a drogą do poznania tego lasu — jego bogactw i potrzeb jest właśnie wspomniane czasopismo".

Okólnik ten spowodował natychmiastowe zamawianie przez Nadleśnictwa Dyrekcji Lasów prenumeraty Ech Leśnych dla całego personelu, nie wyłączając gajowych. Gdyby i inne Dyrekcje Lasów chciały łaskawie poprzeć w tej drodze Echa Leśne, zamiar przekształcenia tego pisma na dwutygodnik stanie się wkrótce realnym. A będzie to korzystne nietylko dla leśników, lecz i dla dobra akcji propagandowej wśród społeczeństwa.

Panu Dyrektorowi Nejmanowi wyrażamy na tem miejscu gorące podziękowanie za poparcie tak doniosłej sprawy.

## PROPAGANDA LASU I LEŚNICTWA W SZKOŁACH

„Echa Leśne" otrzymały od Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego następujące pismo:

Ministerstwo
Wyznań Religijnych i Oświecenia
Publicznego
w Warszawie dn. 7 listopada 1932 r.
do Nr. II—64/31.
Zatwierdzenie czasopisma
do bibljotek szkolnych.

Do Redakcji Czasopisma
„Echa Leśne"
w Warszawie

Ministerstwo uznaje czasopismo p. t. „Echa Leśne". Czasopismo ilustrowane. Warszawa — za dozwolone do bibljotek szkół wszelkich typów.

Naczelnik Wydziału
Dr. J. Balicki.

Ponieważ, w uznaniu wartości lektury propagandowej, podawanej w „Echach Leśnych", Ministerstwo dopuściło to czasopismo do bibljotek wszelkich bez różnicy typów — mamy obecnie otwartą drogę do zdobycia nowego pola dla propagandy lasu i leśnictwa za pośrednictwem tych bibljotek.

Zwracamy się z prośbą do tych wszystkich leśników polskich, komu sprawa propagandy leśnej leży na sercu, aby raczyli łaskawie porozumieć się z kierownikami miejscowych szkół i nakłonić ich, powołując się na wyżej przytoczone pismo, do zaprenumerowania „Ech Leśnych".

## JEDNODNIÓWKA PROPAGANDOWA „LAS".

W dalszym ciągu podajemy wykaz instytucyj i osób, które zakupiły jednodniówkę propagandową „Las" — leśnik polski społeczeństwu — (od 10-ciu egzemplarzy wzwyż), przyczyniając się tem samem do wydatnego wspomożenia akcji propagandy lasu i leśnictwa w Polsce.

Jednodniówka jest do nabycia: „Rynek Drzewny", Warszawa, Al. Jerozolimskie 55, konto w P.K.O. Nr. 8499.

P. M. Bernakiewicz — 10 egz.; Nadleśnictwo Grabowo — 10 egz.; Zarząd Tartaku Kiwerce — 10 egz.; Nadleśnictwo Bielsk — 45; N-wo Mosina — 23; N-wo Trojanowieckie — 30; N-wo Rówieńskie — 25; Dyrekcja Lasów Państw. w Łucku — 47; N-wo Suwałki — 20; N-wo Białojezierskie — 16; N-wo Krasnopolskie — 10; N-wo Włocławek — 12; N-wo Zamszańskie — 16; N-wo Łagów — 10; N-wo Hoduciskie — 10; Oddział Śląski Z. Z. L. — 60; N-wo Chotyłów — 14; N-wo Klewań — 17; N-wo Hancewicze — 14; N-wo Oszmiana — 13; N-wo w Grobli — 15; N-wo Skuły — 15; N-wo Białobrzeskie — 22; N-wo Leszczydół — 15; N-wo Mochy — 11; N-wo Lubochnia — 19; N-wo Lublin — 20! N-wo Worochta — 10; N-wo Gliśnica — 15; N-wo Czeszewo 10; N-wo Puławy — 12; N-wo Koniawskie — 10; N-wo Duniłowickie — 13; N-wo Uściług — 10; N-wo Kiwerce — 14; N-wo Drohiczyn — 10; N-wo Grabownice — 13; N-two Grobla — 11 (powtórnie); N-wo Sokółka — 10; N-wo Święciany — 15; N-wo Łęczno — 14; N-wo Kowelskie — 34; N-wo Uszańskie — 11; N-wo Skorzęcin — 14; N-wo Kołpienice — 24; N-wo Brasławskie — 10; N-wo Osusznica — 12; N-wo Myszyniec — 21; N-wo Supraśl — 12; N-wo Kozienice — 16; N-wo Stołpeckie — 17; N-wo Czartoryskie — 34; Nadleśnictwo Wierzbnickie — 18; N-wo Styrskie — 18; p. A. Szlachciak — 10; p. W. Tomecki — 14; N-wo Kozin (Liceum Krzem.) — 25.

## WYNIKI ANKIETY RADJOWEJ

W sprawie ankiety radjowej, ogłoszonej w Nr. 10 naszego pisma (str. 5), wypowiedziało się do dnia 15 listopada r. b. 423 Czytelników.

Z zestawienia poszczególnych odpowiedzi wynika, że odczytami fachowemi interesuje się 245 osób,
odczytami ogólno leśnemi — 298,
radjo - skrzynką pocztową — 292,
przeglądem wydawnictw fachowych— 277,

poradami fachowemi — 290,
odczytami przyrodniczemi, leśnemi — 294,
odczytami literacko - leśnemi — 230,
odczytami z dziedziny łowiectwa—13,
giełdą drzewną w kraju i zagranicą — 7,
muzyką leśną i słuchowiskami leśnemi — 5,
propagandę lasu i leśnictwa — 4,
pszczelnictwem leśnem — 2,
odczytami z zakresu rybołóstwa — 1,
odczytami o hodowli zwierząt futerkowych — 1.

Ponieważ na nadesłanej ilości odpowiedzi poprzestać nie można, oczekujemy dalszych zgłoszeń ze strony Czytelników.

W związku z naszą ankietą radjową, otrzymaliśmy następującą uwagę:

„Pozwolę sobie na maleńką uwagę, jako oddawna stały abonent Radja:

Dyrekcja nie chce udzielić króciutkich audycyj Lasom i zrezygnować czasem chociażby z nadawania „koncertów", z paru płyt gramofonowych, a szkoda wielka!... Wartoby zapytać, czy wrodzony wstręt do lasów, spowodowany „brzozową kaszą" jest powodem tego? Niech o tem zapomną Panowie z Radja, przecież to było już tak dawno, tak bardzo dawno!..., a za to my, miłośnicy lasów, (jak i nasi przodkowie) potrafimy słowami opowiedzieć dużo, dużo pięknych rzeczy o lesie i jego mieszkańcach, o tem, co lato duma, o czem las szumi..."

*Fr. Chorzewski*

## ODCZYTY ODDZIAŁU WARSZAWSKIEGO Z. Z. L.

Oddział Warszawski Związku Leśników zorganizował w roku bieżącym — na wzór ubiegłego okresu zimowego — II cykl odczytów.

Pierwszy odczyt z tego cyklu wygłosił d. 21 listopada p. Jan Kloska na temat: „Polska bibljografja leśna". Prelegent zobrazował dotychczasowe wysiłki w tej dziedzinie i niezadowalający stan obecny oraz przedstawił konieczność przystąpienia do energicznej pracy w celu stworzenia polskiej bibljografji leśnej, odpowiadającej nowoczesnym wymaganiom. Domaga się tego zarówno nasz własny interes, jak i zbliżanie się chwili, w której wypadnie ujawnić stan naszej bibljografji leśnej na terenie międzynarodowym.

W dyskusji przyjęto szereg wniosków, które wraz z referatem ogłoszone zostaną w najbliższym czasie w prasie leśnej.

W dn. 5 grudnia b. r. zamiast odczytu odbył się pokaz filmów leśnych, użyczonych przez Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych, poprzedzony wstępem objaśniającym, wygłoszonym przez p. Jana Kloskę.

Wyświetlone zostały następujące filmy: „Szwajcarja Kaszubska", „Bydgoszcz" (śluzy, kanały, tartaki), „Wyrób klepki w państwowem nadleśnictwie Łuck", „Spław na Czeremoszu" i „Jesienne polowanie na kaczki" oraz fragment filmu „Spław drewna w Szwecji", wypożyczonego przez Instytut Filmowy.

*I.*




# ZJAZD ZWIĄZKU KÓŁ LEŚNIKÓW

W dniach 1 i 2 listopada b. r. odbył się w Poznaniu doroczny Zjazd Związku Kół Leśników Wydziału Kół Leśnych O. Z. A. K. N.

W uroczystem otwarciu w lokalu poznańskiego Koła Leśników wzięli udział obok delegatów trzech kół leśników Warszawy, Lwowa i Poznania i Zarządu Związku p. p. prof. Biehler i Wielgosz oraz liczni zebrani absolwenci i studenci Uniwersytetu Poznańskiego. Po krótkich przemówieniach kol. kol. prezesa miejscowego koła i prezesa Związku, omawiających cel Zjazdu zabrał głos prof. Biehler, wskazując na konieczną konsolidację wewnątrz organizacyj akademickich i ścisłą współpracę tychże z władzami uniwersyteckiemi ze względu na powagę wytworzonej sytuacji na terenie wyższych uczelni.

Po zamknięciu części oficjalnej przystąpiono do ścisłych obrad. Sprawozdanie z prac ustępującego Zarządu Z. K. L. złożył kol. Kazimierz Rzepecki, uwypuklając między innemi trudności, jakie się wywiązały w związku z otrzymaniem praktyk krajowych i zagranicznych. Po krótkiej, rzeczowej dyskusji udzielono ustępującemu Zarządowi na wniosek Komisji Rewizyjnej absolutorjum, oraz wyrażono podziękowanie.

Następnie Zjazd zajął się szeroko omówieniem planu działania na przyszłość w sprawie uzyskania wpływu na przydział praktyk. Uchwalono w tej sprawie szereg wniosków, polecając nowemu Zarządowi ścisłą współpracę z referatem praktyk O. Z. A. K. N., jako instytucję występującą w imieniu wszystkich Kół Naukowych, zainteresowanych praktykami, oraz postanowiono zwołać specjalną delegację z przedstawicieli trzech Kół, któraby interwenjowała w M. W. R. i O. P. Dalej Zjazd wypowiedział się zdecydowanie przeciwko szkodliwej działalności A. Z. Z. M. „Liga" (o której już pisaliśmy) na terenie uzyskiwanych praktyk zagranicznych. Całość poczynań w tej sprawie cechuje głęboka troska kierowników Kół Leśników o należyte załatwienie tej tak ważnej do całokształtu wyszkolenia fachowego — sprawy praktycznego pogłębienia studjów przez racjonalnie przeprowadzone praktyki wakacyjne. Wychylająca się na światło dzienne sprawa wprowadzenia w życie ustawy o wykonywaniu zawodu leśnika zaabsorbowała i przedstawicieli tych najmłodszych leśników, którzy, chociaż jeszcze w fazie studjów pozostają, tem nie mniej uważają za stosowne orjentować się i wypowiadać swe zdanie w sprawie, która wkrótce, jako już praktyków, tak blisko będzie ich obchodziła.

Po uzgodnieniu swych poglądów na tę kwestję wyprowadzono wniosek, że jedynie ścisła współpraca wszystkich organizacyj leśnych, działających na terenie t. zw. starszego społeczństwa, b. wychowanków szkół akademickich i leśnych kół naukowych, może wytworzyć opinję, z którą czynniki miarodajne więcej się będą liczyły, niż z wystąpieniami poszczególnych organizacyj. Obecnie wytwarzająca się sytuacja wymaga szybkiej i zdecydowanej organizacji — duch młodzieży może tu dać wydatną pomoc przy konsolidacji dość rozbitych dotychczas poczynań poszczególnych organizacyj.

Ze spraw organizacyjnych omówiono plan pracy na rok najbliższy, oraz uchwalono nowy regulamin Związku przystosowany do obecnej struktury życia akademickiego.

Prezesem nowo obranego Zarządu został kol. Władysław Gajewski, dotychczasowy prezes Koła Leśników S.G.G.W.

Staropolska gościnność gospodarzy oraz niczem nie zamącona harmonja obrad pozwala mniemać, że nowe pokolenie leśników, wstępując w szeregi pracowników na niwie leśnej, wnosi nie tylko dodatnie cechy polskiego charakteru ale i poczucie silnej więzi organizacyjnej, która zcementuje wysiłki w walce o lepsze jutro polskiego leśnictwa.

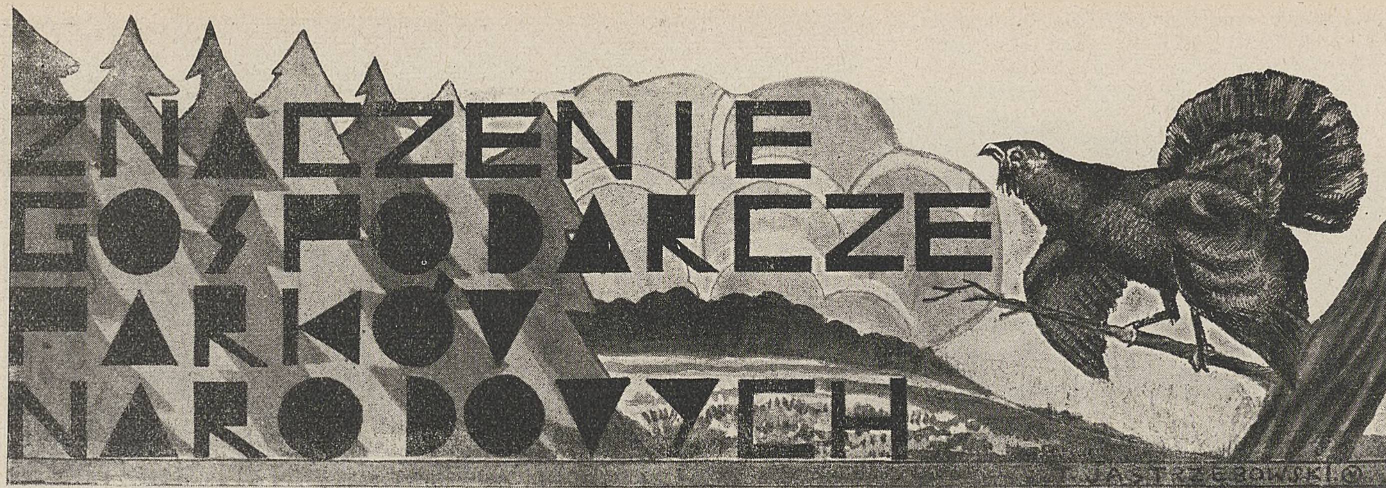
## AUTONOMJA AKADEMICKA

W połowie listopada b. r. odbyły się posiedzenia Rad Wydziałowych i Senatów trzech wyższych uczelni leśnych Warszawy, Lwowa i Poznania w sprawie ograniczenia autonomji wyższych uczelni, stosownie do proponowanej przez Ministerstwo W. R. i O. P. nowej ustawy o szkołach akademickich. Wszędzie i zupełnie jednogłośnie sfery profesorskie wypowiedziały się zdecydowanie negatywnie przeciwko ograniczeniu autonomji zarówno w sprawach nauki, w sprawach gospodarczych, jak i w sprawie organizacyj akademickich, podległych dotychczas jedynie kompetencji władz uniwersyteckich.

Obecnie więc znanem już jest na tą kwestję zapatrywanie całej Rzeczypospolitej Akademickiej, studenci bowiem wcześniej jeszcze w zdecydowany sposób wypowiedzieli się na wiecach, głośno manifestując przeciw zakusom ograniczenia autonomji wyższych uczelni.

## JUBILEUSZ BOTANIKA

Słynny botanik polski, prof. uniwersytetu, Józef Paczoski, obchodził 45-lecie swej pracy naukowej. W czasie obchodu jubileuszowego przemawiał prof. Sajdak, następnie dziekan wydziału matematyczno - przyrodniczego, Dobrowolski, scharakteryzował dorobek naukowy jubilata, zaznaczając, że spotykały go przy pracy naukowej różne przeciwności, a w ostatnich czasach zastał on pozbawiony dobrze zasłużonej katedry przy uniwersytecie poznańskim i obecny jubileusz zastaje go na stanowisku adjunkta przy jego dawnej katedrze. Prof. Paczoski otrzymał liczne gratulacje, m. in. od chorego rektora, prof. Pawłowskiego.




# Znaczenie gospodarcze Parków Narodowych

*„Wycinanie t. zw. „dojrzałych" drzew w Parkach Narodowych winne być zakazane, ze względu na to, że wszystkie takie operacje zmierzają do zniszczenia naturalnego piękna lasów, powodują dewastację i ułatwiają powstawanie pożarów.*

*Ludność stanu Nowy Jork, będąca właścicielką wielkich obszarów leśnych w górach Adirondack, stale sprzeciwia się wycinaniu drzew „dojrzałych" dla celów handlowych, wychodząc z założenia, że ochrona piękna naturalnego lasów jest o wiele ważniejszą dla społeczeństwa, aniżeli mała suma pieniędzy, którąby skarb publiczny za taką niszczącą akcję uzyskał".* *W. T. Hornaday*

W słowach tych, które również zawdzięczam wielkiemu działaczowi amerykańskiemu na polu ochrony przyrody W. T. Hornaday'owi, jest ujęta prawda, która rozstrzyga w sposób jasny nieporozumienia, wynikające w dyskusjach na temat Parków Narodowych.

Prawda ta polega na stwierdzeniu, że istotną wartością dla turystów, największą atrakcją turystyczną dla cywilizowanej ludzkości jest obraz dzikiej, pierwotnej przyrody.

Znaczenie turystyczne Parków Narodowych i rezerwatów jest jeszcze niedoceniane w naszej turystycznej propagandzie, a zdaniem mojem pierwszorzędnej wagi dla ożywienia turystyki tak zagranicznej, jak wewnętrznej. Parki Narodowe i rezerwaty służyć mają dwu głównym zagadnieniom: nauce i kulturze oraz turystyce. W związku z tem daje się zauważyć podział Parków Narodowych na 2 główne grupy: jedne, typu szwajcarskiego, które służą głównie nauce, drugie, typu amerykańskiego, służące głównie oglądaniu piękna przyrody przez człowieka, a więc turystę.

W pracach naszych w Polsce staramy się iść drogą pośrednią i stwarzać Parki Narodowe i rezerwaty, służące równie dobrze nauce, jak turystyce. Że zagadnienie da się w ten sposób rozwiązać, świadczy najlepiej przykład utworzonych już Parków Narodowych: Białowieskiego i Pienińskiego.

A przecież stwierdzić musimy, że nietylko w Białowieży, Pieninach i innych Parkach Narodowych i rezerwatach, ale w rozmaitych miejscach Polski mamy w zachowanej jeszcze pierwotnej przyrodzie osobliwości wyjątkowego waloru turystycznego. Wprawdzie w dyskusji na ten temat powiedział mi ktoś, że wolałby reklamować Polskę, jako państwo najwyższej cywilizacji, a nie zachwalając, jako kraj „wilków i niedźwiedzi" — właśnie jednak w tem powiedzeniu znalazłem echa przestarzałych poglądów. Powyższe moje twierdzenie brzmi wprawdzie paradoksalnie, postaram się je mimo to uzasadnić.

Głównego kontyngentu światowego turystów dostarczają Amerykanie, Anglicy i państwa zachodnio-europejskie, a więc narody stojące na najwyższym stopniu współczesnej cywilizacji. Dla ludzi tych niezmiernie trudno stworzyć atrakcję turystyczną w postaci arcy-zdobyczy cywilizacji, któremi możnaby przewyższyć to, do czego w swoich krajach są przyzwyczajeni. Tylko wyczyny niezwykłe, w postaci takiej Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, potrafią wzbudzić zainteresowanie turystycznej zagranicy dla naszego postępu cywilizacyjnego. Objektem tegoż postępu, który może być dla turysty zagranicznego bardzo zajmujący, o ile mu zostanie należycie objaśniony, jest Gdynia. Pozatem jednak jest złudzeniem liczyć na to, aby nasz dotychczasowy dorobek cywilizacyjny mógł być atrakcją turystyczną; powiadam to przy największem przeświadczeniu o niezmiernem znaczeniu mnożenia tego dorobku przez naszą Ojczyznę. Natomiast już nie atrakcją, ale sensacją dla zagranicznej turystyki może być i wielokrotnie już była nasza pierwotna przyroda. Oczywiście nie myślę tu o zniszczonych wertepach, w któreby miało się ciągnąć zagranicznego turystę, aby wyjechał z wrażeniem, że Polska to kraj zacofany, ale myślę o pierwotnej przyrodzie, której utrzymaniem człowiek się zaopiekował i podał ją umiejętnie ludzkości do korzystania z jej piękna w postaci rezerwatów i Parków Narodowych

„Pierwotna, niczem nie tknięta przyroda, dzika puszcza w otoczeniu cywilizacji" oto hasło, pod którem tworzą dzisiaj wszystkie niemal państwa tereny ochrony przyrody. Interesując się szczególnie tem zagadnieniem, zwiedzając szereg Parków Narodowych i studjując odnośną literaturę, utwierdziłem się jeszcze w przeświadczeniu, że Polska przyspieszy ściągnięcie do siebie turystów zagranicznych przez wyzyskanie tych pierwszorzędnych osobliwości, jakie ma w swej przyrodzie.

Jest rzeczą charakterystyczną, jak o tem pisałem w poprzednich artykułach w „Echach Leśnych", że największą ilość Parków Narodowych na świecie ma Ameryka Północna. Parki Narodowe Amerykańskie poczęto umiejętnie reklamować na cały świat w pięknie ilustrowanych publikacjach. Jak też wykazują statystyki, lwia część z kwoty 75 miljonów dolarów, uzyskanych w roku 1928 z



*Krajobraz z Parku Narodowego w Pieninach* Fot. S. Mucha.

turystyki zagranicznej w Stanach Zjednoczonych, wpłynęła od turystów, którzy przyjechali do Stanów dla zwiedzenia Parków Narodowych. Jeszcze jednak większe jest znaczenie tych Parków dla turystyki wewnętrznej, której rozwój jest tak ważny dla Stanów Zjednoczonych, celem powstrzymania olbrzymiej fali turystów, wyjeżdżających ze Stanów i wywożących kwotę ponad pół miljarda dolarów rocznie. Jak wielkiem jest znaczenie turystyki wewnętrznej w Stanach, wykazuje obliczenie, że przy wydatkach dziennych turysty amerykańskiego wewnątrz kraju 8 — 15 dolarów, ogólne dochody wszystkich gałęzi gospodarstwa, związanych z turystyką wynoszą ponad 5 miljardów rocznie; jest to kwota, której nie wykazują nawet przemysły samochodowy i metalowy.

W tych dochodach poważną rolę odrgywają Parki Narodowe. Jak bowiem wykazuje statystyka urzędowa osobnego Departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który zarządza Parkami, w roku 1925 zwiedziło Parki Narodowe i pomniki natury 1,670.908 ludzi, wśród nich ponad 250.000 cudzoziemców. Większość tych turystów przyjechała samochodami, których wjechało do Parków w 1924 roku 315.916. W samym Parku Narodowym Yellowstone, największym z Parków, wpływy w roku 1924 z opłat za wjazd do Parku 30 700 samochodów i motocykli wynosiły 217.235 dolarów, w roku zaś 1925 wjechało już samochodów ponad 50.000. W roku 1924 bywały dnie, w których do Parku Yellowstone wjeżdżało do 3.000 osób i ponad 500 samochodów. Nie mam dat nowszych, odnoszących się do ruchu turystycznego amerykańskiego, ale wiem, że ruch ten rósł aż do roku 1930, jak lawina. Przyrost roczny liczby zwiedzających Parki Narodowe wynosił przeciętnie 200.000 osób. Jeżeli zważymy, że zwiedzający przeważnie zatrzymywali się na dłuższy czas w Parkach, otrzymamy olbrzymie cyfry dochodu społecznego z opłat za wstępy, komunikacje, hotele, obozowiska, organizację wycieczek, wyżywienie i t. d. To też Parki Narodowe Stanów Zjednoczonych stały się jednemi z najpotężniejszych objektów turystycznych świata. Do obsłużenia tych objektów służy doskonała organizacja transportowa, hotelowa, informacyjna, wycieczkowa, z której żyją tysiące ludzi. Sam oddział informacyjny Parku Narodowego Yellowstone udzielił w r. 1924 informacyj 30 677 turystom, rozdał zadarmo publikacyj urzędowych 83.560 egzemplarzy i zorganizował serje odczytów o Parku, których wysłuchało około 100.000 ludzi. W punktach szczególnie interesujących Parku stale urzędujący przewodnicy udzielili informacji 39.000 osób. Stały personel Parku wynosił kilkaset osób, pracujących pod przewodnictwem dyrektora w szeregu oddziałów, z których oddział ochrony przyrody składał się z kierownika, 3 asystentów i 84 doskonale wyszkolonych strażników. (dok. nast.)

*Prof. Walery Goetel*

# LASY I LEŚNICTWO ZAGRANICĄ

## ORGANIZACJA WOJSKOWA KORPUSU LEŚNIKÓW WE FRANCJI

*(Dokończenie)*

Reasumując — organizacja francuska przedstawia najwyższe natężenie wszystkich sił, a więc i korpusu leśników dla celów obrony państwa. W razie mobilizacji, leśnicy już to w osobnych formacjach, już to pojedyńczo wchodzą w skład siły zbrojnej. Mają oni te same obowiązki i prawa. Zadaniem ich, które z powodzeniem może być zrealizowane jest współdziałanie w ochronie granic i brzegów, zbieranie wiadomości o nieprzyjacielu, służenie wojskom jako przewodnicy, wzmacnianie załóg fortecznych i dostarczania im ludzi, znających teren patroli.

Bezwątpienia personel ten, dzielny i obznajmiony z terenem, którego znaczna część już w czasie pokoju stoi na granicy wschodniej — odda na początku kampanji duże usługi w zakresie wywiadu. Tak brzmi opinja Głównego Sztabu Niemieckiego.

I tak też się stało w roku 1914: leśnicy mieli swą kartę na całem pograniczu, a szczególnie w Wogezach, a twierdzą Francji był nietylko Verdun, ale i las Argoński.

## ORGANIZACJA PERSONELU LEŚNICZEGO W PRUSACH

Organizacja personelu leśnego w Prusach oparta była na przekazanych przez tradycję podstawach, mniej korzystnych dla siły zbrojnej państwa, niż we Francji, a to z powodu niedociągnięć organizacyjnych, gdy przeciwnie wartość wojskowa personelu była bardzo wysoka.

Personel leśny w Niemczech, od czasu XVIII wieku conajmniej, był związany bardzo ściśle z osobą panującego, jako bezpośredniego właściciela lasów państwowych i częstego gościa wraz z całym swym domem na polowaniach, w tych lasach urządzanych.

Już w okresie wojny 7-letniej, a więc jeszcze w wojnach o wyzwolenie Niemiec przeciw Napoleonowi, leśnicy wzięli duży udział, wystawiając bataljony strzeleckie, uzupełnione ludnością okolic leśnych. Bataljony te posiadały broń różną od piechoty, gwintowaną, początkowo bez bagnetów i odmienny szyk walki — rozproszony — w przeciwieństwie do piechoty linjowej.

Bataljony te istniały i nadal w Prusiech w liczbie 14-tu, a w stosunku do lasów powstało tam charakterystyczne pokrewieństwo, a mianowicie, kto chciał być leśnikiem, musiał mieć dwa warunki: musiał być synem leśnika i wysłużonym żołnierzem bataljonów strzeleckich. Kto zaś chciał służyć w bataljonach strzeleckich, musiał być synem leśnika.

Personel wyższy uzupełniał się w sposób specjalny. W Berlinie istniał korpus strzelców o stanie 70 oficerów, których zadaniem przed 100 laty było rozwożenie depesz. Z biegiem lat jednak korpus ten przeobraził się w instytut stypendjalny, gdzie porucznicy z wojska, po przesłużeniu w niem kilku lat, kończyli akademję leśną, pełniąc równocześnie funkcje honorowe na dworze pruskim. To też droga do osiągnięcia wyższej rangi w leśnictwie przedstawiała się następująco: pierwszeństwo mieli synowie urzędników leśnych, którzy winni byli odbyć szkołę kadecką lub zgłosić się do wojska w charakterze podchorążego, ukończyć w czasie służby obowiązkowej roczny kurs szkoły wojennej, otrzymać stopień podporucznika, przesłużyć w wojsku do porucznika, przejść do korpusu feldjägrów, ukończyć akademję leśną oraz przejść do administracji lasów na stanowisko cywilne.

Z ramienia wojska czuwała nad tem wszystkiem inspekcja strzelców, będąca w ścisłym kontakcie z administracją lasów.

Zasadniczym brakiem tej organizacji było to, że nie włączała ona personelu leśnego, na wypadek mobilizacji, do sił zbrojnych państwa, nie przewidując dla niego organizacji wojskowej, przez co nie uregulowała sposobu wykorzystania tak świetnego personelu.

Jakkolwiek terytorjum niemieckie, poza chwilowem wtargnięciem na obszarze 2/3 Prus Wschodnich ze strony rosyjskiej, pozostało nietknięte, jednak już na tym małym odcinku dała się wybitnie odczuć słabość tej organizacji.

Wojska Renenkampfa, zająwszy puszczę Rominten, na wschód od Suwałk, wieszały bezwzględnie leśników niemieckich, którzy pozostali na miejscu, posiadając swą broń służbową w domu, jako franktinerów, wykorzystując ich brak praw kombatanckich, co wywołało w Niemczech duże wzburzenie, jakkolwiek oni sami w Belgji na większą skalę jeszcze tę represję stosowali.

Leśnicy puszczy Jańsborskiej tylko dzięki jej ufortyfikowaniu i uniemożliwieniu w ten sposób wtargnięcia sił rosyjskich uszli losu swych kolegów z puszczy Rominten.

*L. Koczur - Rutkowski.*

## SZKOLNICTWO LEŚNE W KANADZIE

Najstarszą akademicką uczelnią leśną w Kanadzie jest Wydział leśny na uniwersytecie w Toronto, otwarty w r. 1907. Pierwszym dziekanem tego wydziału był znany na kontynencie amerykańskim leśnik, pionier szkolnictwa leśnego w St. Zjedn. Am. Półn., i założyciel pierwszego wydziału leśnego na uniwersytecie Kornelskim (Cornell University), Dr. Bernhard Fernow. W St. Zjedn. był on pierwszym dyrektorem biura leśnego Ministerstwa Rolnictwa St. Zjedn., w ciągu więcej, niż 20 lat, przemianowanego na dzisiejszą Forest Service — departament leśnictwa.

Studja leśne trwają cztery lata; po ukończeniu wydziału uzyskuje się tytuł kandydata nauk leśnych (Bachelor of the Sciences of Forestry) z inicjałami wykształcenia zawod. B. Sc. F.

Na pierwsze dwa lata program przewiduje nauki podstawowe ogólnie kształcące i nowożytne języki, dwa lata następne poświęcone są studjom z dziedziny leśnictwa. Do r. 1928 wydział leśny ukończyło 120 osób.

Drugą z kolei uczelnią leśną jest wydział leśny na uniwersytecie w Fredericton (prowincja Nowy Brunświk), otworzony w r. 1908.

Studja trwają 4 lata, po ukończeniu uzyskuje się tytuł identyczny. Kandydaci zaś na stopień magistra, muszą złożyć pracę Radzie Wydziałowej i przeprowadzić studja w terenie w okresie nie krótszym jak 3 lata. Wydział posiada dla celów demonstracyjnych las o pow. 3.640 akr. (1456 ha) w odległości 5 klm. od miasta. Do r. 1928 opuściło uczelnię leśną około 70 wychowanków z dyplomami.

Następną uczelnią leśną jest wydział leśny i mierniczy w Quebek na uniwersytecie Lawala, o 4 let. okresie studjów. Po ukończeniu miernictwa po 3 latach uzyskuje się tytuł mierniczego (surveyor), a leśnictwa (4 lata), tytuł inżyniera leśnego — (Forest Engineer — F. E.)

Wykładowym językiem jest język francuski, z obowiązkową gruntowną znajomością języka angielskiego. W poprzednich uczelniach wykładowym językiem jest angielski.

Uniwersytet posiada własny las 20 mil. ang. odległy od Quebeku i rezerwat leśny gminny dla celów demonstracyjno - leśnych.

W roku 1921 otworzony został czwarty wydział leśny na uniwersytecie prowincji brytyjskiej Kolumbji w Vancouver z 4 let. kursem. Po ukończeniu uzyskuje się tytuł kandydata nauk leśnych B. Sc. F., o ile studjuje się wszystkie nauki leśne i podstawowe. Przy specjalizacji w użytkowaniu lasu uzyskuje się tytuł eksploatacyjnego inżyniera — logging engineer.

Wydział leśny uniwersytetu tego daje największe możliwości teoretyczne i praktyczne dla studjujących, zwłaszcza użytkowanie lasu. Przy uniwersytecie bowiem czynny jest znany na całym świecie jeden z zakładów doświadczalnictwa drzewnego (Forest Proucts Laboratory), w którym mogą studenci odbywać ćwiczenia z zakresu technologij mechanicznej i chemicznej drewna.

Poza czterema uczelniami leśnemi o typie akademickim, czynne są jeszcze w Kanadzie dwie szkoły leśne.

Szkoła papiernicza, będąca wydziałem w szkole technicznej w Three Rivers w prowincji Quebek, subwencjonowana częściowo przez rząd prowincjonalny, a utrzymywana przez kanadyjskie towarzystwo papiernicze (Canadan Pulp and paper Association), które za pośrednictwem specjalnej komisji doradczej (An advisory board), współdziała z kierownictwem szkoły.

Drugą szkołą leśną jest samodzielna szkoła dla leśniczych w Berthieville w prowincji Quebek o 2 let. kursie, połączonym. Wykłady bowiem trwają 8 miesięcy w czterech 2 mies. okresach, przerywanych dwumiesięcznemi okresami praktyki płatnej. Liczba przyjmowanych kandydatów jest ograniczona do 30 rocznie.

*Inż. B. Nowacki.*

# ECHA ŁOWIECKIE

## WIGILIJNE POLOWANIA

Myśliwi byli i będą zawsze wiernymi czcicielami wszelkich tradycyj! I chociaż w dzisiejszym wieku elektryczności, samochodów, radja i innych gramofonów nieco zblakowały dawne ojców zwyczaje — jednakże, pomimo to rzetelne dusze łowieckie — zawsze będą żywiły pewnego rodzaju sentyment do zwyczajów, obrzędów — nawet powiem zabobonów swych antenatów...

Albowiem niemasz większego łącznika z latami dawno zamarłemi — jak szlachetna pasja myśliwska... Poczynając od tego, że właściwa psychologja — wewnętrzny impuls adeptów Ś-go Huberta, ani na jotę się nie zmienił i niczem się nie różni *dzisiaj* — od napięcia całego jestestwa *ongiś* — jakoteż od gorącej chęci zdobycia bądź co bądź upragnionego trofeum! Dlatego też polujący współczesny „gentleman" w eleganckim londyńskim komplecie, uzbrojony w pierwszej klasy „Purday" lub „Holand" — bądź to, obdartus kłusownik, do pnia olchowego podobny Poleszuk, nieszczęsny inteligent, beznadziejnie wydeptujący w dni świąteczne podmiejskie, rozpaczliwie puste rewiry — wszyscy jednako gorzeją tym samym zniczem zamiłowania do pro ederu zdobycia za „wszelką cenę" upragnionego objektu.

Czy to będzie tygrys bengalski, lew z Nubij, jeleń z Karpat, głuszec królewski, „rakiety" kogutów bażancich, peki kuropatw, albo, li tylko jeden skromny szaraczek, kaczuszka zabłąkana, para kwiczołów nawet, na jałowcach ustrzelona!... Zawsze ma miejsce ten sam objaw szczerego zadowolenia u szczęśliwego zdobywcy! Kto wie nawet?... Może, po mozołach wielkich, upolowany marny okaz stanowi jeszcze intensywniejsze źródło satysfakcyj dla „niezblazowanego" osobnika!... Bo, co się tyczy akcesoryj—obcowania z świętą Matką Przyrodą — radosnem zatopieniu się w jej zbawionnem łonie, obserwacyj nad całą estetyką otaczającej nas Natury — to, każda czujna istota polująca w tym samym stopniu przeżywa i odczuwa owe szczęsne i kojące nastroje!...

Mówię, oczywiście o łowcach z Bożej łaski i czystej krwi, a nie o polujących dla względów towarzystkich rekordzistach i innych „snobach"...

Kategorje te, winne być zaliczone do rzędu strzelających do „żywych celów" — ale, przenigdy nie są myśliwymi! Nawet, jeśli biją bez pudła!... Bo każdy myśliwy jest strzelcem, — lecz, nie każdy strzelec myśliwym!... Myśliwy bowiem musi koniecznie zawierać i jednoczyć w jednej i tej samej osobie *primo:* gorące umiłowanie i pojmowanie wszechstworza, oraz jego dreszczów wszelkich; *secundo:* miłość do żywych tworów, chociażby najskromniejszych i *tertio:* kult dla etyki szlachetnego kunsztu, do dawnych zwyczajów — tradycyj wieków minionych. A jedną z najjaskrawszych stanowią rytualne niemal polowania w Wigilję Bożego Narodzenia.

Jak starożytni królowie z ziemi Chanaejskiej — Dziecięciu w ubóstwie, na sianie zrodzonemu, nieśli złoto, kadzidło i myrrę, — tak my składamy Mu w ofierze, wiązankę „rozkoszy" naszych łowieckich!... Jednocześnie z błaganiem opieki nad nami w ciągu roku Nowego!... Iżby Moc Najwyższa, za pośrednictwem naszego Świętego Patrona raczyła zachować dla nas na długie, długie jeszcze lata niezbędną nam trzeźwość i rzeźwość dla dalszych venatorskich upojeń, oraz możliwość zadośćuczynienia pierwiastkom atawistycznie drzemiącym w każdym Nemrodzie! Dla pozbawionych zaś niestety w poprzednich okresach tego szczęścia — powrotu, na nowo byłych łowieckich oczarowań!...

Stąd się właśnie rodzi symboliczny zwyczaj polowania w dnie Wigilijne, 24 i 31 grudnia.

Dawniej, a i dziś jeszcze we Francji, w dniu Ś-go Huberta, przed rozpoczęciem sezonu polowań „par force", odprawiała się uroczysta bardzo Msza Święta. Kapłan ostentacyjnie błogosławił sfory psów, konie i cały zespół aparatu łowieckiego. Bo słusznie mówią: „kto z Bogiem — Bóg z nim". Najlepszym tego dowodem opisanie przez prasę francuską, podobnej ceremonji w zamku „Bonelle" pani margrabiny d'Uzés, urodzonej Mortemar. Sędziwa Artemida, dziewiąty krzyżyk licząca, konno sfotografowaną jest razem ze swoją prawnuczką... Wybitny dowód całkowitej zbawienności naszej ukochanej pasji i... gorącego przywiązania do cyklu dawnych, nawet średniowiecznych tradycyj łowieckich!... Więc, Czytelniku najmilszy — komu warunki, czas i zdrowie pozwolą — nie zapominajmy zapolować w dniach wigilijnych!

Jak jarząca się od świateł, bogata przybrana „choinka", zdrojem zachwytów dla dziatwy — tak, dla nas gwiazda Betlejemska niech zaświeci nad ośnieżoną całą magją uśpionego lasu pod roziskrzonym welonem ciemnej Nocy Grudniowej!



A kiedy to powracać będziemy z skromnych czy obfitych łowów Wigilijnych — my, dzieci Ś-go Huberta — czciciele najzdrowszego ze sportów, — my, prawdziwe „dusze myśliwskie" — niech, na ten czas spokój panuje nietylko na wysokościach, lecz i wśród ludzi dobrej woli!

A chyba nikt więcej od nas, na podobne miano nie zasługuje, gdyż kto poluje — ten, napewno o niczem „złem" nie myśli! Temu czy innemu coprawda biednemu zajączkowi i kuropatewce krzywdę pewną nieraz uczyni!... Ale, na pożytek przecież ludzki służyć mają!... Czyż da się porównać ich los na łonie Przyrody niespodzianie ginących z ohydnie zarzynanemi w jatkach, domowemi zwierzętami!?

Zresztą, obowiązkiem naszym jest zawsze i wszędzie starać się możliwie redukować każde cierpienie — skracać każdy ból niepotrzebny, padłych od naszych „celnych" strzałów, łownych objektów!

Więc reasumując — hajda! bracia mili, z pod zielonych sztandarów do zagajników gęstych i borów tajemniczych cicho drzemiących w bieli poświaty zimowej — w szarugach krótkiego dnia grudniowego! zawsze dla nas tak dobrotliwie, tak wielką światłością jaśniejącego w dniach godów wigilijnych, tradycjonalnych polowań!

Bo myśliwi będą zawsze pamiętać o dawnych zwyczajach — o łączności z tymi, co przed nami krzyż życia nieśli — w łowiectwie ukojenie znajdując!

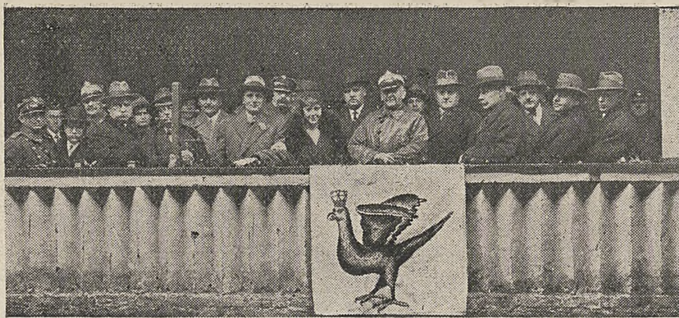
*Adam Rzewuski.*

## ZWIERZOSTAN W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Puszcza Białowieska stanowiła od najdawniejszych czasów ostoję dla grubego zwierza. Znajdował się w niej zaginiony już dzisiaj tur (Bos Primigenius), protoplasta naszej krowy, nieistniejący dzisiaj na terenie Polski rosomak (Gulo Borealis), żubr (Bison Europeus), oraz w wielkich ilościach łosie, daniele, jelenie, niedźwiedzie i rysie.

Na zwierzynę tę urządzane były, począwszy od XIV-go wieku przez królów polskich polowania przy współudziale licznych dworzan i zaproszonych gości.

Po ostatnim rozbiorze Polski, Puszcza Białowieska dostała się pod panowanie carów rosyjskich. Oni też obrali sobie Puszczę za miejsce rozrywek, urządzając w niej liczne polowania.



*Na Szczęśliwicach otwarta została nowa strzelnica bractwa kurkowego w obecności p. gen. Fabrycego.*

Za czasów rosyjskich łowiectwo dosięga najwyższego swego rozwoju w 1910 roku. Ówczesny zwierzostan wynosił 800 żubrów, około 10.000 jeleni, 1 000 danieli, 120 łosi, 8.000 sarn, 1.000 dzików i wiele różnej drobnej zwierzyny. Nadmierny rozwój i sztuczne podkarmianie zwierzyny wpłynęło jednocześnie na jej degenerację. Zwierzyna ta czyniła znaczne szkody w lesie, niszcząc podszyty, podrosty, krzaki i gałęzie miękkich gatunków drzew do wysokości 2 m. Utrzymanie tej zwierzyny wynosiło około 300.000 rb. rocznie.

W roku 1914, celem zapobieżenia zupełnej degeneracji zwierzyny oraz zachowania całości Puszczy, wydano rozporządzenie dokonania odstrzału 3.500 sztuk jeleni, 500 danieli i 300 dzików. Odstrzał żubrów (których ogólna ilość wynosiła około 800 szt.) dozwolony był tylko za specjalnem zezwoleniem cara, a nawet odstrzał złośliwych sztuk, zagrażających bezpieczeństwu ludzi, był również uzależniony od jego zezwolenia.

Z chwilą nastania wojny, zwierzostan Puszczy przedstawiał się następująco: żubrów 727, łosi 60, jeleni 10.000, danieli 1.500, sarn 5.000 i 2.200 szt. dzików.

W czasie wojny światowej wojska rosyjskie i niemieckie prawie doszczętnie wytępiły znajdującą się w Puszczy zwierzynę.

Pozostałe jeszcze po wojnie żubry, zostały wybite przez kłusowników, rekrutujących się z okolicznych wiosek. Ostatni żubr padł z ręki kłusownika ze wsi Białowieża w r. 1919.

Po objęciu Puszczy przez władze polskie, administracja leśna zastaje około 1.500 jeleni, 1.300 sarn, 10 danieli, 300 dzików i około 40 wilków. Od tego czasu stan zwierzyny poprawia się stopniowo i według ostatnich obliczeń przedstawia się następująco: około 435 jeleni, 11 danieli, 4.000 sarn, 1.000 dzików, 30 wilków, 40 rysi, 500 lisów, 1.000 zajęcy, 100 borsuków i 600 głuszców.

W roku 1929 została zorganizowana służba łowiecka oczywiście w bardzo skromnych rozmiarach w porównaniu z czasami przedwojennemi.

Tereny łowieckie Puszczy Białowieskiej pozostają i obecnie terenami reprezentacyjnemi Państwa.

Najważniejszem wydarzeniem lat ostatnich jest wrócenie Puszczy jej najwspanialszego pomnika przyrody — żubra.

Nabyte w roku 1929 przez Ministerstwo Rolnictwa, żubry w liczbie 6-ciu sztuk (2 byki i 4 krowy) pochodzą z Nowej Askanji na Krymie. Przez Szwecję dostały się do Niemiec, a stamtąd zakupiono je dla Polski. Dalsze dwie sztuki nabyte zostały w roku 1931 w Ogrodzie Zoologicznym w Poznaniu (1 byk i 1 krowa). Żubry te wpuszczono do zwierzyńca, o powierzchni około 40 ha, specjalnie w tym celu założonego. Zwierzyniec ten ogrodzony jest silnym płotem 2-metrowej wysokości, uziemionym od dołu i zaopatrzonym drutem



Fot. G. Kwiatkowski.
*Niezwykły jastrząb (rozpiętość skrzydeł 1.60 m.) upolowany w Łapajówce*

kolczastym od góry. Straż łowiecka dniem i nocą czuwa nad bezpieczeństwem żubrów.

W chwili obecnej w zwierzyńcu przebywa razem z przychówkiem 10 sztuk. Z tego:

2 byki stare czystej rasy (Borus i Hagen),

1 krowa stara czystej rasy (Biskaja),

3 krowy stare nieczystej rasy (Swea, Faworyta i Stolce), oraz

4 sztuki przychówku, urodzonego w Białowieży w latach 1930 i 1931,

2 byczki nieczystej rasy (Halban i Huron),

1 jałówka nieczystej rasy (Popała),

1 jałówka czystej rasy (Biruta Białowieska).

W maju bieżącego roku padła po dłuższej chorobie, nabytej przed przywiezieniem do Białowieży, jedna krowa, zakupiona w Ogrodzie Zoologicznym w Poznaniu. Krowy tej nie udało się uratować, pomimo troskliwej opieki weterynaryjnej ze strony prof. dr. Konstantego Łopatyńskiego.

Stan zdrowotny żubrów jest naogół zupełnie zadawalniający, o czem świadczyć może ich wygląd zewnętrzny oraz płodność, której wynikiem w stosunkowo krótkim czasie — był przybytek w ilości 4-ch sztuk cieląt.

Ministerstwo Rolnictwa zamierza w przyszłości zwierzyniec dla żubrów rozszerzyć do 200 ha obszaru. Tymczasem jednak dla żubrów, hodowanych w ciasnem ogrodzeniu, przestrzeń, przekraczająca 40 ha, byłaby zbyt nagłem przejściem do zupełnej swobody, co przyczyniłoby się również do usunięcia się zwierząt z pod nadzoru straży łowieckiej.

*L. P.*

# KURS NARCIARSKI NA BARANIEJ GÓRZE

Zarząd Oddziału Śląskiego Zw. Zaw. L. P. organizuje w czasie od 26-go do 31-go grudnia 1932 r. kurs narciarski dla początkujących i zaawansowanych na Baraniej Górze.

Zbiórka dla miejscowych we wtorek dnia 27 grudnia o godz. 8-ej rano przed leśniczówką na Przysłupiu.

Zbiórka dla zamiejscowych w poniedziałek dnia 26 grudnia 1932 r. o godz. 15, minut 43, na dworcu stacji kolejowej Wisła (Śląska Cieszyński). Stąd uczestnicy pojadą sankami na Baranią Górę.

Zgłoszenia na kurs należy kierować pod adresem: Oddział Śląski Zw. Zaw. L. P., poczta Cieszyn, — Zamek — Szkoła dla Leśniczych.

Na koszta ogólne kursu należy przesłać pod wyżej podanym adresem 5 zł. (pięć zł.).

Koszty żywienia i noclegu ponoszą całkowicie uczestnicy kursu.

Staraniem miejscowego Oddziału:

całodzienne żywienie w leśniczówce wyniesie 3.60 zł.,

całodzienne żywienie w leśniczówce schronisku 5.00 zł.,

nocleg na słomie lub sianie w leśniczówce od osoby za jedną noc (przykrycie i poduszkę należy zabrać ze sobą) 0.30 zł.,

nocleg w schronisku P. T. T. na łóżku za noc od osoby 2.50 zł.

Przy zgłoszeniu należy podać: imię, nazwisko, wiek, adres, charakter służbowy zdeklarowanie się w sprawie żywienia i noclegu.



*Bobry przy pracy*

JANUSZ STĘPOWSKI

# BOŻE NARODZENIE NA PLANTACH KRAKOWSKICH

JANOWI WIKTOROWI

*Dlaczego jesteś smutny, kiedy śniegu tyle, —*
*za białemi muchami zlatują motyle,*
*gwiazdy szklą się na drzewach,*
*wiatr je w struny odziewa,*
*w struny śpiewnych, powiewnych kantylen...*

*Jesion z bukiem, wiąz z brzozą płaczącą*
*w tan porwali grabinkę milczącą, —*
*— Dylu! — dylu! — zagrali*
*graluszkowie lipowi,*
*śnieg się w igłach jodłowych zapalił — — —*

*Hej, — leluja, — polela, — luteńka!*
*Gałązkami się srebrzy lirenka,*
*brzęczą kruche czasołki*
*z szeszelinek jemiołki,*
*na pajęczych głóg dźwięczy niteńkach.*

*Uderzyły na odsib basetle*
*po sosnowem, po owem pomietle,*
*— hej, — luty, — maluty, —*
*— hej, — bysiu, — bysiu, ty! —*
*— niech ci nuty do nuty rozetlę! —*

*Zaświegotał klon, cały bez liści,*
*zatopotał świerk, biały z okiści,*
*— kołodziejem, — drabańcem, —*
*— czarodziejem, fyrtańcem, —*
*— jak się w koło drzew Kraków kołiści!*

*Przybieżeli aniołowie*
*na planty,*
*wydzwonili na konarach*
*kuranty, — —*
*— kasztany, o, kasztany — —*
*— cud boży w wasze ściany — —*
*— w żłóbeczku,*
*odziany — —*

*Przystanęli przy samotnej*
*choince,*
*pod wawelskim, rycerzowym*
*dziedzińcem, — —*
*— blask śpiące drzewko zbudził —*
*— to dla was smutnych ludzi*
*— to lato*
*w ten grudzień — —*

*I zagrała kolendą od ziemi do nieba,*
*kołysana legendą wiślana koleba,*
*— — w księżycowej poświacie, krasawica wieczysta,*
*— — o włosach rozpuszczonych, niby harfa lutnista*

*— — Czy ją widzisz z daleka? — —*
*— — Z hejnału wycieka — —*
*— — przezroczysta, rozbłyska pancerzem — —*
*— — i płatkami śnieg strąca — —*
*— — na kamienne wrzeciądza, — —*
*— — szkarpy murów, zaklęte w kobierzec — —*

*Czy ją słyszysz, śród ciszy,*
*jak się głosem rozchodzi...*
*— wstańcie, wstańcie pasterze — —*
*— bo się Bóg wam narodził — —*

*I tak wrosła śpiewanka we Florjańską Bramę.*
*W karuzelu ją Kraków zamknął Barbakanem.*

*A po plantach już w koło się kręci nowina...*
*we wrotach Almae Matris skłębiony tłum żaków...*
*Wieść radosna! Nadobna! Wieść dobra, nie inak...*
*wszystkim wobec i wszystkim z osobna,—każdemu!...*
*— Mistrz Kopernik wyczytał z planetarnych znaków*
*nad salą albetańską — — Gwiazdę Betlejemu!...*

*Z bibljotecznych foljałów wychylili twarze*
*bakałarze, mędrkowie scholastycznych marzeń:*
*— „Ile na końcu szpilki zmieści się aniołów?“ —*

*Rozum ich stężał w księgach z pierwszym inicjałem,*
*teraz przerósł im głowy, wzbił się nad powałę,*
*— z nieba spływał im w ręce cherubinów połów*
*— serafinów chór, głośny skrzydłami przyczołów!...*
*Otwarli ludzie bramy...*

*Przez niebieskie dźwierze,*
*zadymką śnieg polatał i puszył się pierzem.*

*... Tak wybiła na rynku z ratusza godzina: — — —*

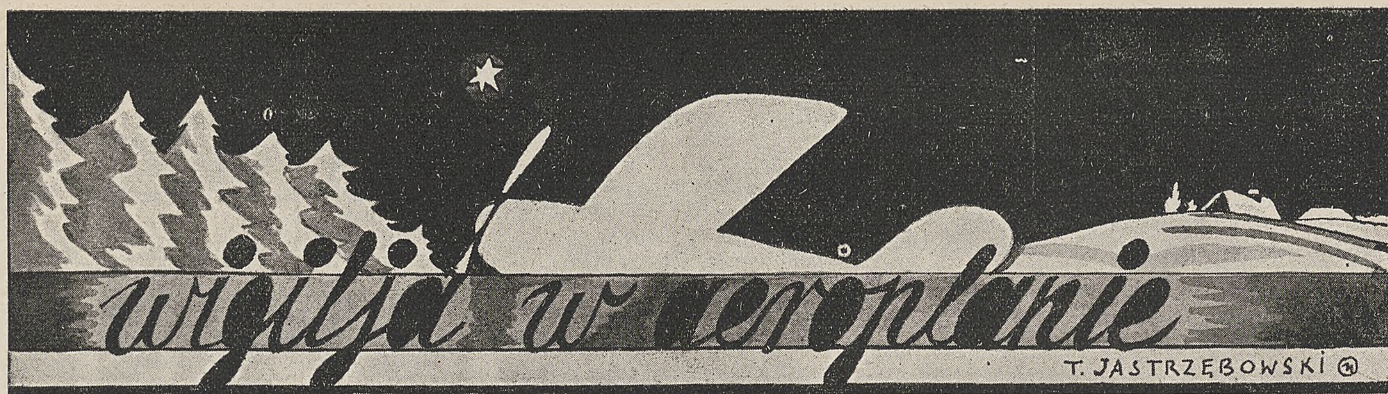
*... ŻE PANNA CZYSTA,*
*... ŻE PANNA CZYSTA,*
*... PORODZIŁA SYNA,*
*... W PIASTOWYM DWORCU,*
*... W ŚNIEŻYSTEJ KOŁYSCE,*
*... W ŻŁOBIELEŻNEJ Z KASZTANÓW*
*... PLANTOWEJ KANTYCZCE,*
*... W TAŃCU ANIOŁOWYM,*
*... W ŚNIE ZAMKNIĘTYCH POWIEK,*
*... W DZWONIE ZYGMUNTOWYM*
*... NA SERCU, — W KRAKOWIE...*

— — — — — — — — — — — — —

*Pamiętasz tę Wigilję, ten wieczór przed laty,*
*wysoki, dumny wieczór na najwyższem piętrze, —*
*w Twym pokoju mróz w oknie bławatnił się w kwiaty,*
*w klocki, listki i gwiazdki, — dziecinne obręcze...*

*A potem noc, świecąca przez śnieżyste płatki,*
*i owe ludzkie słowa z najtajniejszych głębin...*
*Wtedy to nam, — pamiętasz — przyniosły opłatki*
*dwa z Placu Marjackiego zbłąkane gołębie.*

*Ponad miastem płonęły w łunie amaranty,*
*śnieg czapką białe ścieżki zamiatał przed nami...*
*Poszliśmy sami sobie przez krakowskie planty,*
*opłatkiem się podzielić w ciszy, — z pomnikami.*




Nie było innej rady. Pan Bartłomiej spóźnił się na pociąg i, gdyby miał na głowie włosy, wyrywałby je sobie napewno. Szczęściem kazał sobie właśnie dzisiaj łeb do skóry ogolić, bo to, panie tego, jak jest czasem w czubku, to żona chwyta za to, co jest na czubku.

— Hm, ha! — zadumał się pan Agapit i patrzył uporczywie na szyny, które jeszcze nie ostygły od uciekającego przed jego przyjacielem parowozu.

— Radź, bracie! — rozstawił ramiona pan Bartłomiej, a odwróciwszy się do tragarza, który przyniósł za nim paczki, dodał: — Zaczekajcie, człowieku, aż poczciwa rada nas oświeci, widzicie, co za nieszczęście, ostatni pociąg.

A tam o 150 kilometrów czekają żona, dzieci na prezenty, przekąski i tego— wskazał butelki. — Słuchaj, Agapit, braciszku! A żeby tak samochodem?

Chwiejący się na nogach przyjaciel spojrzał na zegarek.

— Będziesz w najlepszym razie za sześć godzin. Wiesz, droga do ciebie podła. Zaczekaj, na przyszły rok, kiedy Ministerstwo Komunikacji...

— Nie mogę, to zadługo. Słuchajcie, człowieku, czy tu, jest jaki szofer?

— Owszem, proszę jaśnie dziedzica, sum. Jale wszystkie pijane w sztok.

— Mam! — oderwał naraz pan Agapit wzrok od szyn i żgnął przyjaciela palcem w brzuch.

— Oj! nie dotykaj, tam chlupie.

— To nic — filozoficznie odparł Agapit. — To cię odleci w mig. A na wigilję w domu musisz być próżny, jak niemowlę. To się dobrze nawet składa.

— Ale, jak się tam dostanę?! Ptakiem przecież nie jestem.

— Właśnie, raz będziesz ptakiem. Polecisz aeroplanem.

Panu Bartłomiejowi zdało się, że naraz wytrzeźwiał.

— Człowieku, czyś ty ciołkę stracił, że trzymają się ciebie takie pogrzebowe pomysły?!

— Jedziesz aeroplanem i basta.

— Ależ ja nie umiem jechać aeroplanem — ze łzami bronił się pan Bartłomiej.

— Pierwszy lotnik też nie umiał, a widzisz ilu to do dzisiaj już spadło? — proroczo wskazał Agapit palcem najpierw na niebo, a potem na ziemię.

— Pan minister mówi sprawiedliwie. Albo się chce do żony, albo nie.

— Jezusie! Maryjo! Oni mnie na tamten świat wyprawią!

— Tak czy owak, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Kto ci zaręczy, że się pociąg nie wykolei, albo auto nie rozbije o słup wiorstowy? Z aeroplanu nawet, powiem, śmierć przyjemniejsza i bardziej cnotliwa.

Pan Bartłomiej ocierał pot przerażenia z czoła.

— Zważ więc. Mam przyjaciela, dowódcę parku lotniczego. Już on tam jakiemuś szpicakowi każe i w pół godziny cię dowiezie.

— Szpicakowi! W pół godziny 150 kilometrów! — powtarzał przerażony pan Bartłomiej.

Tymczasem pan Agapit, człowiek przedsiębiorczy i ustosunkowany z wysoko postawionymi, dotarł do szefa sekcji lotniczej i przedstawił sprawę swego przyjaciela.

— Przyjechał, widzisz, bratenku, po prezenty i tego... wigilijne i takeśmy się ździebko zawieruszyli. Rozumiesz, dzień niezwykły, wigilijny, nie urzęduję, z domu pędzą, niema gdzie tej głowy..., to jest, nawet przysiąść, więc wdepnęlismy.

— Pan doznaje choroby morskiej? — indagował urzędowo już szef sekcji.

— Jak żyję nie jeździłem jeszcze ani statkiem, ani aeroplanem.

— Doskonale, będzie pan miał okazję za darmo przekonać się. Nie traćmy więc czasu. Jest tam właśnie młody porucznik, pilot, ma urlop, miał tam gdzieś lecieć, więc najpierw odwiezie pana.

Na lotnisku wpadli do hangaru jak bomby. Aeroplan już wytoczono i szykowano do drogi. Stał przy nim pilot i mechanicy.

— Panie poruczniku, powiezie pan tego pasażera do jego majątku, Czubków. To mój krewny. Więc można służbowo. Misja ważna.

Porucznik szarpnął się, jakby tknięty naraz prądem elektrycznym i spojrzał z pasją na baryłkowaty kształt pana Bartłomieja.

— Panie pułkowniku, melduję, że dostałem na dzisiaj urlop i właśnie wybierałem się.

— Nic to, jeszcze pan zdąży wykorzystać swój urlop. Tylko 150 kilometrów.

— Umówiłem się z kolegą. Czekają na wigilję...

— Ten krewny mój też na wigilję, a chyba pan przyzna? Pan gotów?

— Rozkaz, panie pułkowniku! — I przeszył nienawistnem spojrzeniem kadłub pasażera.

— Ja tu mam jeszcze bagaż — odezwał się nieśmiało pan Bartłomiej, pod którym nogi zamieniały się w ciało galaretowate.

— Pan sam już przedstawia większe, niż wypada, wartości bagażowe — zauważył cierpko porucznik. — Do aeroplanu wolno tylko 15 kilo.

— Panie poruczniku, ależ ja ważę przeszło sto! — wypalił radośnie pan Bartłomiej.

— Pan się nie liczy, chodzi o bagaż pasażera.

— Co to może ważyć, czy ja wiem? Butelki dosyć ciężkie, może wbrew przepisom?

— Więc pan się cofa?

— Nie, nie, on się nie cofa! — zaopinjował pan Agapit. — Ja ci mówię, jedź braciszku, skorzystaj z uprzejmości pana porucznika. Ty wiesz — żona!

Ja sambym, uważasz, rad z tobą tak dla opieki, ale mam wrażenie, że już bez aeroplanu będzie ta morska choroba. A jak się cofniesz, ja się twojej żonie nie pokażę.

To mówiąc, popychał pana Bartłomieja po schodkach. Pasażer siadł i jęknął.

— Agapit, braciszku, a gdyby tak coś, poprowadź żonę moją na pogrzebie. I nie zapomnij, zostawiłem parasol i kalosze w tej... na rogu Złotej.

Resztę testamentu przerwał przeraźliwy świst, brzęk i warkot propellera i motoru. Aparat wstrząsnął się cały, jak ptak wzbudzony do lotu. Impet śmigła rozpędzał powietrze i ludzi. Pan Bartłomiej ze zgrozą zatknął uszy i oczyma szukał ratunku wiernego przyjaciela. Wspomniał naraz lata dzieciństwa, szkołę, praktykę rolną, narzeczeństwo i ostatni kieliszek wigilijny w restauracyjce. Śmierć, widać zbliska zajrzała mu w oczy. Dla dodania sobie otuchy wbijał sobie w mózg: — pierwszy aeronauta — bohater w powiecie pierwszy...

Pilot przywiązywał go pasem.

— Śmierć! — przeleciała znów myśl straszliwa. Zamknął oczy i opadł w fotel.

Aeroplan szedł naprzód, podskakując zlekka, unosząc się już trochę. Pasażer, owładnięty panicznym strachem, jął się naraz szarpać w fotelu, podskakiwać i oglądać.

—Panie, siedź pan spokojnie! To nie wyścigi! — wrzasnął mu w samo ucho pilot.

— Dokąd mnie pan wiezie?! Dokąd mnie pan porywa?!

— Do Czubków, panie tego... Trzymaj się pan dobrze. Teraz jedziemy w górę.

Jak pan będziesz niespokojnie siedział, możesz pan zlecieć wyżej, niż trzeba, bo do Abramka na piwo.

Pasażer, nie powiem, żeby zbladł, ale zaczął zielenieć i schwycił się za brzuch, dając rozpaczliwe, nieme znaki pilotowi.

— Panie poruczniku! A gdzie tu można tego?... Choroba morska, już wiem, jest...

— Wal pan przez okienko wdół!

— Ale może tam mój przyjaciel pod spodem? Nie chciałbym przyjaciela tak...

— Panie, bez skrupułów. Jużeśmy przelecieli 30 kilometrów. A zanim się pan zdecyduje, będziemy już tak wysoko, że to spadnie dopiero jutro rano razem z deszczem.

— Co pan powiada? A na cóż my

tak wysoko lecimy? Przecież ja tam nie mieszkam, ale w prostej linji na ziemi.

— Cała właśnie pańska wina w tem, że pan „tam" nie mieszka, dokąd ja chciałbym lecieć, a w jakichś tam Czubkach.

— Szkoda, bo ja jestem kompan pierwszej klasy.

— Tylko nie dziś i nie w aeroplanie.

— Albo ja mówiłem, że w aeroplanie? Pan pierwszy nie docenia mego towarzystwa.

— Panie, gdybyś pan był na mojem miejscu, to napewnobyś pan się do tej pory wściekł. Zresztą ja też nie ręczę za siebie.

Pan Bartłomiej przezornie próbował się usunąć.

— Zrozum pan! Miałem urlop. Przyjaciel chciał mnie zabrać dzisiaj na polską wieś, na wigilję. W tym domu — panna. Właśnie o nią chodziło. Poznałem ją w Warszawie. Szampańska kobieta! Bóstwo! Byłem bliski zaręczenia się i gdyby nie pan...

— Panie pilocie! — rozjaśnił się pan Bartłomiej. — Ja przecież też zdążam na polską wieś, a co do tego, to nigdy nie zapóźno...

— Tak, panie łaskawy, ale pan chce do Czubków, do Czubków, panie!

— A to... gdzie było?

— Ba, gdybym ja wiedział sam! Myśli pan, że ja wiózłbym pana do Czubków?

— A niby dokąd?

— Polecielibyśmy tam do tej kobiety.

— Niby ja?

— Tak. Pan zaczekałby w aeroplanie. Ja tymczasem możebym się zaręczył.

Następnie polecielibyśmy w obłoki razem! Pan z nami, jako przyzwoitka.

A potem nietylko do Czubków, ale mógłbym pana zawieźć nawet na szczyt Himalajów.

— Nie, panie poruczniku, ja tam nie mam takich aspiracji. Zresztą mam pana za porządnego człowieka i nie wątpię, że mnie pan spokojnie bez tych romantycznych awantur dowiezie.

— Panie! — pochylił się i wrzasnął mu w ucho pilot — jeszcze jedno słowo i wysadzę pana na którymś z tych obłoków.

Pan Bartłomiej z przerażeniem zerknął na rozświetlony księżycem obłok, obok którego właśnie przelatywali, zatrzymał dech w sobie i rozglądał się, czy w pobliżu niema znów równie niebezpiecznego miejsca do wysiadania.

W pewnej chwili, widząc znów grupkę obłoczków, gwałtownie wskazał w przeciwległą stronę.

— O, tam, tam moje Czubki!

— Pan widzę orjentuje się po gwiazdach.

— Tak, moja ciotka miała wyjść zamąż za takiego, co, to panie, nosił aż trzy gwiazdy na piersi... Niech pan ominie ten obłoczek... O tam!

— Tam! — wrzasnął pilot, zakręcił tak nagle, i zsunął się łukiem wdół, że aż pan Bartłomiej stracił równowagę i jęknął:

— Panie poruczniku! Jeżeli panu moje życie miłe...

— To najlepiej będzie, jeżeli pana tu wysadzę gdzieś na dachu kościelnym.

Akurat zdąży pan na pasterkę.

— Panie, już zgoda i na to, ale przynajmniej we własnej parafji.

— Więc gdzież są u djabła te pańskie Czubki?

— Wie pan, że straciłem trochę orjentację pomiędzy temi obłokami. Nieprzyzwyczajenie. Ile myśmy mogli już przelecieć?

— 180 kilometrów.

— Aha, to wszystko robi to wspinanie się do góry. Zawsze się nadrabia drogi, zupełnie jak w górach.

— Czy tam koło pana jest las?

— A jest, jest, panie kochany.

— A woda?

— Woda? No mam studnie artyzyjskie...

— Rzeka?! — wrzasnął porucznik.

— Gdzie?! — przeraził się znów pan Bartłomiej.

— Powiedz pan nareszcie, czy koło pana jest jakaś rzeka?

— Rzeka? Jako żywo nie przypominam sobie żadnej. Najbliższa to Wisła w Warszawie.

— Tam do djabła! Tośmy zbłądzili!

— Niech się pan opuści niżej i uważa na drogowskazy. Na skrzyżowaniu drogi stoi jak wół: Do Czubków 7 kilometrów i 20 metrów.

— Czy pan spadł już kiedyś z aeroplanu?

Pan Bartłomiej oniemiał, zaniemówił.

— No, nie może pan sobie przypomnieć?

— Ależ ja panie tego, nigdy tym aeroplanem jeszcze dotychczas...

— To widać też zaraz. A jakie koło pana najbliższe miasto?

Pan Bartłomiej dokładnie wyliczył znane sobie dobrze stolice okolicy.

— Na jakiego djabła pan akurat tam mieszka, dokądżeśmy nie lecieli?

— Panie poruczniku, to doprawdy nie moja wina, to majątek rodzinny.

Milczeli. Warczał tylko motor. Pilot zmienił kierunek, szukał drogi. Podnosił się i znów opuszczał. Pasażer drżał z przerażenia. Błąkali się już godzinę. Pan Bartłomiej stwierdził, że ma dość.

— Czy my tak długo jeszcze możemy jechać?

Może do rana — opryskliwie rzucił pilot. — Czy się pan nudzi?

— Nie, ale... mnie nudzi.

Znów zaległa cisza, podczas której pan Bartłomiej przypomniał sobie naocznie, co zjadł dzisiaj w dwóch barach i trzech restauracjach. Wreszcie, uczyniwszy dokumentny rachunek żołądka, odetchnął.

— Lżej mi trochę. Wie pan, zapraszam pana do nas na wigilję. A mam ze sobą pyszności majonezik warszawski, sardynki, szprotki, homara, no i coś do zalania. Poza tem proszę w imieniu żony i córki.

— Pan ma córkę?

— Dlaczegoż nie miałbym mieć córki?

— Prawda — przecież to niema nic wspólnego z panem.

— Jakto? — żachnął się pan Bartłomiej.

— Myślę o teraźniejszości — usprawiedliwiał się pilot.

— Ależ naturalnie, panie, córka dorosła, panna na wydaniu. Mówią, że uroda proszę siadać.

— To szkoda.

— Dlaczego?

— Bo my tam dzisiaj nie usiądziemy w tych Czubkach do pioruna! Pan słyszy? Niema już benzyny.

— Więc niby co?

— Koniec! Uważaj pan!

Pan Bartłomiej nie potrzebował rozkazu, bo aeroplan skoczył raz po raz, niby z czwartego piętra na łeb.

— Czy to już katastrofa?

— Niby trochę tak. A jak panu dobrodziejowi na imię? Prędzej!

— Bartłomiej!... — przez łzy strachu mówił pasażer.

— Aha, zły prognostyk. Miałem stryja Bartłomieja, spadł z aeroplanu w szyb naftowy. Brat mój, Bartłomiej, nadział się na wieżę świętego Florjana w Warszawie. A wiesz pan, co się stało z moim mechanikiem, Bartłomiejem? Spadł z aeroplanu w takiej sferze, gdzie już nie było przyciągania ziemi i przysiągłbym, że zleciał na Marsa.

— To już najlepiej wolałbym, żeby mnie spotkał los tego mechanika...

— Pan mówi poważnie? Można się o to postarać!

— Jeżeli spadnięcie nieuniknione, to proszę pana o to wyróżnienie, bo tam nie spotkam mojej żony. Pan sobie nawet nie umie wyobrazić, co jabym miał przy spotkaniu za tę dzisiejszą wilję! — Naraz pan Bartłomiej przypomniał sobie coś ważnego, aż szarpnął za rękaw pilota. — Panie, ale ja mam na drugie Dominik, czy to nie pomoże?

— Zapóźno! — tragicznie odparł pilot.

Kółka aeroplanu właśnie dotykały stałego terenu...

— Co? już rozbijamy się?! W imię... pan Bartłomiej dłońmi zakrył oczy.

— Módl się pan!

Aeroplan jechał równym smugiem pod lasem. Stanął.

— Jesteśmy, panie dzieju.

— Gdzie?

— Na tamtym świecie!

— A Czubki? — zrozpaczonym wzrokiem wodził wokoło pan Bartłomiej. — Moja wilja!

— Nic to. Wilja może być i tu. Ma pan tam jakiś majonezik i coś do podlania.

Pasażer z rezygnacją rozwinął pakunki. Napili się z butelki. Po pierwszym rzetelnym hauście pan Bartłomiej rozrzewnił się cośkolwiek.

— Widzi pan kochany, bo ja mam i lampki elektryczne na choinkę...

— Dawaj pan. Są tu świerki, rozepniemy, zapalimy, a potem zaśpiewamy kolendę.

Po rozwieszeniu lampek na drzewie, pilot połączył je z akumulatorem i rozświetlił różnobarwnemi promieniami przyprószoną śniegiem zieleń.

— Cud! Prawdziwy cud! — wołał pan Bartłomiej po czwartym dobrym hauście.

Po zjedzeniu sardynek i kilek przyszła kolej na majonez.

— Wie pan. Podoba mi się to. Jeszczem nigdy tak nie spędzał wigilji.

— Widzę, że się pan zachęca do aeronautyki, ale na pilota nie radzę...

— To nie — zaśmiał się pan Bartłomiej jak dziecko — ale...

— Co ale?

— Ale na przyszły rok namówię żonę, żeby pojechała po prezenty do Warszawy i wróciła z panem... aeroplanem. O! Pan setny chłop! Czekaj pan, mam tu i dla pana prezent. Uważa pan, prosiła mnie córka o pierścionek taki męski z kamieniem. Powiada, że się może nie-

długo zaręczy, to... Więc niech ona się tam zaręcza tymczasem i bez pierścionka, a pan masz go na pamiątkę.

— Zdrowie pańskie!

— Niech żyje aeroplan!

— W pańskie ręce! Pusta!

— Łup pan drugą! Jak mi Bóg miły, kocham pilotów! Mów mi ty! Daj pyska!

— Twoje zdrowie!

— Hej kolenda, kolenda! Cud, panie tego, cud!

Jarzyły się lampki na świerczku ośnieżonym, stał aeroplan jak bestja apokaliptyczna, dymiły łby, szczególniej pana Bartłomieja.

— Pal djabli Czubki! — odbijał szyjkę w czwartej butelce węgrzyna.

Pilot spuścił głowę i westchnął markotnie.

— Czego ty znów, aeronauto?

— Tak, straciłem dziś narzeczoną. Wszystko już było prawie umówione. Bo to uważasz w tajemnicy przed starym, on dziś zalany w Warszawie, a ja miałem tu z córeczką i mamusią załatwiać zaręczyny. Naumyślnie go wysłały.

Zawsze spóźnia się na pociąg. Bo to, uważasz, stary baran, niby ten jej ojciec uparł się i powiada: nie dam córki za pilota, wydziedziczę, a nie dam! Prędzej mi włosy — tu. Znać mnie i widzieć nie chciał. Kuzyn tej panny to wszystko urządził. Dostałem dziś późno urlop, więc postanowiliśmy lecieć aeroplanem. Do panny posłał depeszę. Czeka nieboga.

Dawaj go tu, tego starego durnia! On — mego przyjaciela?! — wymachiwał buńczucznie pan Bartłomiej butelką. Za pilota nie wyda! A za kogoby chciał?! Machnij na tego osła ogonem sweo aeroplanu. Powiem ci, bierz moją córkę. Pierścień, zdaje się, już ci dałem, a jak nie, to... Ja ci za nią ręczę. Ona lubi pilotów, wiem coś o tem. Ja też — ty jesteś świadkiem. Daj pyska!

— Może masz i rację, stary, ale widzisz... serce, nie mogę.

— Zdrowie twego serca. I na pohybel tego durnia, co to pilotów nie...

— Hej kolenda, kolenda — zaintonowali unisono.

Wesoło brzmiała i obijała się niemilknącem echem kolenda po lesie.

Naraz z gąszczu wysunęło się kilka postaci zawiniętych w futra.

— Bartłomieju! A to co?

Pan Bartłomiej szeroko rozwarł oczy, a trzymając ramieniem za szyję pilota, prawił z niedowierzaniem:

— Patrz, poruczniku. Nie mówiłem, że cud. Czy myśmy naprawdę lecieli koło świętego Piotra? Pewnieśmy się zarazili temi świętemi sztuczkami. Bo żeby tak naraz z lasu moja żona... I tu od Czubków jakieś 180 kilometrów! — zataczał się pan Bartłomiej.

— Ależ, Bartoszku, nie 180 kilometrów, tylko jesteś pod samym parkiem w Czubkach. O sto kroków jest twój dom. Usłyszałyśmy aeroplan, hałas, jakieś śpiewy... Toś się urządził na wigilję!

Tymczasem pilot dostrzegł widać coś, czy kogoś, bo wysunął się z objęć pana Bartłomieja i skoczył naprzód.

— I trzeba to było miejsce swego pobytu otaczać taką tajemnicą i używać do pomocy pośrednictwa w konspiracji aż kuzyna? — robił już wymówki pięknej pannie.

— O, znam pana aż nadto, wiem jaki pan szaleniec i raptus, gdyby pan był wiedział, jak się nazywa nasz majątek, byłby pan dawno tu przyleciał.

Wszystko przepadłoby, gdyby ojciec był zobaczył pana w aeroplanie, bo przecież pan wie, jak ojciec nie lubi pilotów.

— Więc to pani ojciec?! Ależ ojciec pani, to mój najlepszy przyjaciel.

— Widzę to właśnie w jakim pan go przywiózł stanie. Nic z tego wszystkiego. Tak, czekałam na pana, ale planowałam przecież z kuzynem inaczej.

— A jeżeli pani powiem, że pierścionek zaręczynowy już mam? I ten oto przywiozłem wzamian dla pani, panno Rysiu... — wkładał już na mały paluszek złote kajdanki, choć dziewczyna niby to się wzdragała.

— Cud! cud! — wołał zdaleka pan Bartłomiej wiedziony przez żonę. — Gdybym nie był pijany, to przysiągłbym, że Ryśka się zaręcza. A co, nie mówiłem ci? Zapomniałeś o tamtej, co miała ojca durnia?

— Najzupełniej — skłonił się z wesołym uśmiechem pilot

— A ja ci powiem, poruczniku, od dziś nie używam innej komunikacji, tylko aeroplanu. A wiesz dlaczego? Bo — wrzasnął jak w aeroplanie — mam jeszcze dwie córki na wydaniu.

# GDY PIERWSZA GWIAZDA ZAPŁONIE

*Gdy pierwsza gwiazda na niebie zapłonie*
*W noc Wigilijną cichą, białą, chłodną —*
*Ktoś biedną ziemię bierze w swoje dłonie*
*I patrzy na nią z litością ogromną...*

*Ktoś miłosiernie na tę chwilę jedną*
*Łzy zatrzymuje w smutnych ludzkich oczach*
*I szczęścia garstkę między ludzkość biedną*
*Spuszcza po gwiazdek świetlistych warkoczach.*

*Ktoś rękę kładzie na dziecięcych głowach*
*I pocałunek składa na tych czołach,*
*Których nikt nigdy jeszcze nie całował,*
*Których nikt nigdy w życiu nie pokochał.*

*I na tę chwilę zło przepada, ginie,*
*W czyjemś spojrzeniu spalone na popiół...*
*Słodycz nieziemska, jak woń kwiatów płynie*
*Czyimś uśmiechem rozrzucona wokół.*

*... I coraz ciszej i cieplej, i słodziej*
*Ktoś szepce jakieś słowa pocieszenia...*
*Gdzieś się pod niebiem wielka Miłość rodzi,*
*Zbyt cicha, żeby świat zbudzić z uśpienia...*

*WANDA SZONERTÓWNA.*

# KRÓL KRÓLÓW

*W żłobku drży Dziecię maleńkie,*
*Drży z zimna...*
*Ogrzewają Je litośnie*
*Wół i osiołek oddechem,*
*I szepcą Mu na pociechę*
*O wiośnie!...*

*Szepcą Mu o wonnym lesie,*
*O słońcu,*
*O skrzydlatych ptaszętach*
*W szafirowych odmętach*
*I Dziecię słucha radośnie!...*

*Potem przychodzą pasterze*
*I dary składają*
*W ofierze,*
*Śpiewają:*
*„Gloria in exelsis!...“*
*Tak sercem najszczerszem*
*Chwalą Pana!...*
*...Stajenka rozśpiewana!...*
*Ponad nią zwisa kometa*
*Z długim złocistym ogonem,*
*A za nią spieszą w tę stronę*
*Trzej królowie,*
*Monarchowie,*
*I pochylają korony*
*Przed Dziecięciem...*

*A Ono ??*
*Wie co Mu sądzono!*
*Wyciąga rączęta,*
*Nie szlocha,*
*Zimna nie pamięta,*
*Ach, kocha!...*
*Kocha wołu, osiołka,*
*Miłuje monarchów,*



*Kocha pacholęta,*
*Co Mu nucą chwałę,*
*Miłuje świat cały:*
*Błyszczą Mu oczęta!...*

*Herod w zazdrości obmyśla oręże,*
*Wie o tem... cóż stąd? wszak Prawda zwycięży!...*

*Matka w pobliżu pokornie czeka:*
*Niech uczczą Dziecię —*
*Boga — człowieka!...*
*— Jej Dziecię!...*

*A Ono ??...*
*Wie co Mu sądzono!*
*Uśmiecha się miłośnie,*
*Nie szlocha!...*
*Wie o... Bólu,*
*Lecz kocha,*
*Świat kocha — Król królów!!...*

*MARJA RING*

# na warszawskim parnasie

T. JASTRZĘBOWSKI

Zwykle poznaje się Warszawę od strony dworca, od ulic Marszałkowskiej i Nowego Światu. Ruch uliczny, wygrywający tu jakąś futurystyczno-urbanistyczną symfonję na szprychach kół pojazdów, aut i tramwajów, — nocą tonie w blasku biżuterji neonowych reklam.

Strumienie świetlnych macek kuszą, wabią, przyciągają — mieszając z tytułami filmowych dramatów, nazwy mydeł, czekolady i marki butów. A każdy z tych błysków, wiszących w powietrzu, zdaje się dzierżyć niepodzielnie emblematy władzy i — panować nad stolicą beztroskiej szczęśliwości, bogactw i wykwintu.

Tak jednak nie jest, — nie trzeba ulegać pozorom.

Często słyszy się biadania na lekkomyślny blichtr Warszawy. Wypowiadają je ludzie obcy, przyjezdni, właśnie od tej strony dworca, zapatrzeni tylko w perspektywę głównych ulic, które oddychają, z natury rzeczy, szybko i nerwowo, płucami wszystkich dzielnic przeszło miljonowego miasta.

Wystarczy jednak oderwać oczy od tego kalejdoskopu zewnętrznych, czysto optycznych wrażeń i zamknąć uszy przed gwarem kipiącego ruchu wielkomiejskiego, a wtedy, wgłębieni w rozległą sieć ulic, — z łatwością doszukamy się drogi do właściwego piękna, uduchowionego w pomnikach sztuki i nastrojach architektury, znamionujących styl i wymowę dawnej i dzisiejszej Warszawy.

Taką poetycką podróż po parnasie warszawskim warto przedsięwziąć za przykładem mistrzów serdecznych, którzy przecież niejeden upominek swego ducha ofiarowali ludziom na pożytek dobrej pamięci.

Obecny wymiar miasta, zakrojony na olbrzymią skalę potrzeb i warunków życiowych, przerasta wprawdzie umiłowane kąty i zacisza marzeń, lecz ich bynajmniej nie umniejsza.

Dla czułego ucha miło będzie odróżnić delikatne dźwięki pozytywki od jazzbandowych saksofonów, wybijających rytm dnia dzisiejszego, — dlatego przenieśmy się odrazu myślą z Nowego Świata w Stary Świat Warszawy.

Wyrastają przed nami wąskie kamieniczki, rzędem, jakby trzymające się pod ręce, o tynach barwnych, zdobnych w pękate wykusze i ścianach już omszałych, — wiekami jednak musujące, jak flaszki starego, a świetnego wina, — strzelające pod niebo dymnikami na dachach z miedzi, cegły czerwonej i blachy, malowanej śniedzią stuleci. W ciasnych uliczkach, wzdłuż domków, opatrzonych żaglami okrętów, brodami świętych pańskich lub promieniami słońca, ciągną się kramy. Obok nich skupiła się, najprzedniejsza może w Polsce, rzesza mieszczan, znajoma i powinowata rozległym trad-cjom sławetnych rodów: Baryczków i Kilińskich, pamiętna czasom własnego ustawodawstwa t. zw. juryzdyki, i do dziś zresztą wierna swej prawości cnót i iście grenadjerskiemu powołaniu.

To najdawniejsza dzielnica Warszawy. Cicha kolebka dzisiejszej głośnej stolicy. Stare Miasto.

Omszone, trzypiętrowe tyny zdają się obecnie dumać nad srebrną wstęgą Wisły, jakby przywołując z pamięci, obrazy myśli i ducha zamierzchłych czasów...

...Bliżej ku srebrnej Wiśle,
za murami Fary
Majestatycznie Rynek,
Rozpostarł się stary;
Z czterech stron go obsiadły
Pnąc się w błękit siny,
Starożytne, omszone,
Trzypiętrowe tyny.
Jaskrawo lśnią na słońcu,
Wąskich domostw dachy
Z miedzi, z czerwonej cegły,
Z malowanej blachy;
Ścian barwa pstra lub szara,
Okna wzięte w ołów,
A u szczytu figury,
Smoków i aniołów.
...Czy znacie te uliczki,
Te zaułki brudne,
Gwarem życia tętniące,
Zgiełkliwe i ludne,
Czasem rubaszne, ale
Dobre, kochające,
A takie ciepłe, jak to
Nasze polskie słońce!?...

*(Or-Ot: „Stare Miasto").*

Wzbiła się Warszawa na parnas poetycki z innej również świątyni swego dumania, przeniknąwszy ongi poszóstną karocą z pod kolumny Zygmunta III, — strzegącej wrót Starego Miasta, — na przeciwległy kraniec stanisławowskiej stolicy, — do Parku Łazienkowskiego.

W tem czarownem miejscu muz, zamienił Amor staromiejskie tańce, cenary i firleje, w układne figury menueta, odbite w lustrzanej tafli sadzawki, nad którą król z dworem podziwiał kiedyś swój teatr nadwodny.

Później, — cienie wielkich twórców naszej literatury znalazły tu krainę swoich natchnień w rozmowie liści drzew z poezją.

Tak pod Belwederem wyrosła sylwetka Kordjana. Tak u pomnika Sobieskiego staje nam przed oczami żywy obraz: podchorążowie 1831 r., a z nimi pamiętne dzieło Wyspiańskiego, ofiarowane powstańcom Warszawy — „Noc Listopadowa".

Tymczasem, wirydarzem wspomnień, alejami grabów i klonów łazienkowskich snują się jeszcze dziś bohaterowie powieści Prusa, Żeromskiego i Perzyńskiego, najwierniejsi temu miejscu, nawet po ich wspólnej śmierci.

Jakże tu było kiedyś, u początku samego. — w czasach króla Stasia?

...Wzorzysty orszak dworski... Mienią się błyskotliwe stroje francuskie i sute delje karmazynów szlacheckich... Kroczą dygnitarze w białych perukach i damy w stylowych koafiurach... W orszaku nie brak i przedstawicieli świata artystycznego: poetów i malarzy.

...Wkrąg rozbrzmiewają komplementy, zabawne szepty rozmów i uśmiechy, przytłumione dyskretnie wachlarzem pań. Stoły toną w powodzi świateł świeczników i w złotej poświacie kielichów, wznoszonych toastem. Wtórują im mowy i często patetyczne ody na cześć ucztowników, którym nie brak niczego w życiu prócz kremu z niebieskich migdałów i ptasiego mleka...

...To, — sławne, czwartkowe obiady w pałacu łazienkowskim, wydawane dla zaproszonych gości przez króla Stanisława:

Co czwartek przybywali,
Wietrząc już z daleka
Kadzidło komplementów,
I zapach pieczeni
Goście gwiezdnych gościńców,
Pyłem opyleni,
Których u swego stołu,
Król z obiadem czeka.
Napoje pamiętają,
Popiela i Ćwieka,
Jadłu nie brak attyckiej
Soli, ni korzeni,
Lecz każdy nadewszystko,
Wety sobie ceni:
Krem z niebieskich migdałów.
I ptasiego mleka.
Jedzą, piją, bywało,
A przytem w zawody,
Trzęsą, niby z rękawa,
Satyry i ody,
Których rymy od sztućców,
Srebrnych srebrniej dzwonią.
A równocześnie w żłoby,
Pałacowej stajni,
Hojnie sypali obrok,
Dworscy rękodajni,
Kurtyzowanym, ale
Skrzydlatym ich koniom.

*(Stefan Godlewski: „Warszawa").*

Pozostawmy jednak pegazy skrzydlate i górny patos w Łazienkowskim Parku i stańmy się współcześniejsi.

Jesteśmy więc znów w rozgwarze ulic warszawskich i płyniemy z falą życia, zamkniętą w tłumie i cierpiącą na wieczny brak czasu. Jesteśmy tu, ot, —

jak każdy człowiek, zaledwie małą cząstką mrowiska, jakąś niepozorną głową, osadzoną komicznie na dwóch nogach, śpieszących za celem swych codziennych trosk, kłopotów, obowiązków i ciągłych interesów, zawsze jednakowo ważnych i nigdy niezaspokojonych. A oto, na mgnienie oka, — śpiesząc przez Krakowskie Przedmieście — wyrasta przed nami rzeźba Chrystusa, uginającego się pod krzyżem u bramy kościoła...

...Moment skupienia... i chwila powagi... jakbyśmy ujrzeli symbol wielkości cierpienia za stratowaną wieloma pochodami ulicę...

...Chrystus Ś-go Krzyża — wśród huku aut, tramwajów, wrzasku ulicy — — Chrystus w koronie cierniowej, idący na Golgotę, — — za ludzkość, za to miasto, za ten tłum, za każdego z nas, — za ciebie...

...Na opotniałą skroń, na usta krwawe,
Osiadają mu sadze z kominów Warszawy.
A wiatr, co trąbą kurzu,
U stóp Mu się zwinął,
Syczał, cieniał, ku niebu,
Piął sploty wężowe,
Nad głową Chrystusową,
Nagle oddech wstrzymał,
I popiół wszystkich ulic
Sygnął Mu na głowę...
...A on: — kona.
— Dajcie Mu chwilę ciszy. —
Pod naporem spiżowego krzyża,
Pęka Mu grzbiet i ramiona.
Trzeba Mu usta zwilżyć...
Ostatnia chwila się zbliża...
Cierpi! . . .

*(Bogdan Karpacki: „Chrystus").*

Jest w Warszawie jakaś siła przyciągająca. Jest jakiś oszałamiający wir, porywający w młyny ulic. Jest jakaś magnetyczna moc, która trzyma duszę, jakby przykutą do śpiesznego rytmu dni, nawet wtedy gdy świadomość ludzka zdaje sobie sprawę z udręki, z blichtru, powierzchownego szyku i w chlebie codziennym czuje całą gorycz.

Nigdzie tak szybko nie wybucha zapał i nigdzie tak szybko nie stygnie. Dziś sława, — jutro nicość; dziś miłość, — jutro zapomnienie. Wielkie miasto, — wieczna zmienność.

I to właśnie, co w tem wszystkiem pociąga i odstręcza, ta ciągła kolejność następstw bez końca, zaznaczyła się jednak na parnasie warszawskim dowodem prawdziwych uczuć przywiązania. Bo ileż to razy ucieka się z Warszawy, aby potem do niej znowu z pokorą i tęsknotą — powrócić:

...Po wszystkie czasy klnąc twój bruk,
Twój blichtr i szyk, twój gorzki chleb,
Zmykałem stąd, zachodząc w łeb —
Jakżem choć dzień wytrzymać mógł!
A później, — przez Kierbedzia most, —
Warszawo!.. powracałem znów,
Nieśmiały, pełen tkliwych słów
I jakże czuły na twój głos...
...Coś solą w oku naszych miast, —
Warszawo!.. kocham nóg twych rytm,
Twój spleen, twój lombardowy kwit,
Co oko piekł nie jeden raz...
I mimo klątw, krakowskich gróźb —
Kocham twe **cuś i twoje ktuś**
I czarujące zawsze **ji...**

*(Jerzy Liebert: „Kołysanka Jodłowa").*

No, a zresztą ulice Warszawy nie są zwykle odpowiednim terenem do rozważań wielkomiejskich wad i zalet.

Tętni tu przecież żywe życie, które nie znosi przystanków.

Wyczuwa to się w architekturze nowoczesnych ulic, wybijających sobie przyszłość pędem biegnącego czasu, jak i w poezji współczesnej, trzymającej rękę na pulsie życia.

I któż inny właśnie, jak nie kobieta, uosabiać ma to żywe tętno, pulsujące w poetyckich natchnieniach miasta?...

Gród syreni wykołysał sobie jej typ czarujący, kuszący, powabny. W ten sposób Warszawianka, w swej urodzie i wdzięku, zda się istotnie dopełniać styl i architektoniczne piękno dzisiejszej Warszawy.

...Ulice wiją się, jak węże, bądź to plasają wesoło, jak dzieci, skaczą przez siebie lub rozpierają się hardo, plączą, motają wśród krzywizn i rozbiegów, albo krzyczą o pomoc w ślepym zaułku zgubione, — ona jedna, kobieta, panuje nad niemi zwycięska, kołysząc się krokiem pięknej tanecznicy...
Taką ulicą...
Jasną w słońcu i prostą, jak trzcina —
Idzie mi na spotkanie —
Dziewczyna, Dziewczyna:
Kołysze się na biodrach
gędźbą tanecznicy,
Aż się domy kołyszą
z obu stron ulicy!...

*(Juljan Tuwim: „W Warszawie").*

*Janusz Stępowski*

## KRAJ PŁOMIENNY

*Jest jeden kraj promienny,*
*Szczęśliwy, kto go zna!*
*Jest jeden kraj promienny,*
*Gdzie wiosna wiecznie trwa,*
*Gdzie z życia walk Gehenny*
*Ucieczkę człowiek ma.*
*Jest jeden kraj świetlany,*
*Gdzie duch na skrzydłach mknie,*
*Gdzie wszystkie serca rany,*
*Powoli goją się.*
*Jest jeden kraj świetlany...*
*Poezją On się zwie.*

## ŚLAD ŻYCIA

*Niechaj się chociaż w pieśni*
*Niekiedy ucieleśni*
*Tęsknota ludzkich dusz,*
*Gdy wszystko, co w nas żyło*
*Przemożną pragnień siłą*
*Los-władca zgasi już.*
*Niech w bajce pozostanie*
*Ból, radość, szał, kochanie*
*I marzeń cały świat,*
*Niech w Piękna choć iskierce*
*Zostawi nasze serce*
*Na ziemi jakiś ślad.*

## SĄ SPOTKAŃ CHWILE

*Są spotkań chwile i są przeczuć dreszcze,*
*Mówią o rzeczach, które być musiały.*
*Są słowa dziwne, jak gwiadz srebrne dreszcze,*
*Spadają w duszy zaklęty świat biały.*
*Są drgnienia wiewne, jak skrzydła motyle,*
*Są słowa dziwne i są spotkań chwile,*
*Jak przypomnienie skądś, — z innego świata.*

*Halina Bronikowska-Smolarska.*

## AFISZ HANDLU HERBATĄ

### *Wspomnienie o Wyspiańskim*

Zostały dzieła artysty, trochę listów i wiele wspomnień, które czas rozprasza i zatraca. Gdy spojrzeć z perspektywy lat na pracę artysty wtedy i dziś, zadziwia zmiana upodobań publiczności, zmienność mody, bo gdy teraz poezję i dramaty Wyspiańskiego stawia się obok spuścizny trzech wieszczów, a jego obrazy i witraże wywodzi krytyka na poziom natchnień Wita Stwosza i Matejki, to wówczas szereg pierwszych utworów Wyspiańskiego, Legenda, Meleager, rapsod Bolesław Śmiały, były poza nawiasem czytelnictwa. Drukowane w minimalnej ilości egzemplarzy, ubogim, własnym kosztem autora, zalegały skład księgarski, dopóki poeta sam, jak niegdyś Antoni Malczewski, wydanych własnym nakładem egzemplarzy „Marji", nie rozdał między znajomych.

Malarstwo?

— Muszę pisać, — skarżył się, — bo nie mam za co malować.

Łatwo było domyśleć się, czem to poczucie braku musiało być dla niego, który uważał się wyłącznie za malarza. Ale, gdyby i miał na opłacanie pracowni, płócien i farb, nie wieleby to do rozpowszechnienia obrazów pomogło.

Zainteresowanie jego malarstwem przejawiło się raz w zabawny sposób. Godzina była południowa. Lato. Poeta leżał w łóżku. Ktoś zapukał. Jeszcze raz i jeszcze raz. A gdy z wnętrza nikt nie odpowiadał, popróbował klamki i wszedł. Był to stary i gruby pan, bardzo wysoki, z poczciwemi siwemi oczami, ubrany dostatnio i starannie.

— Pan Stanisław Wyspiański? malarz?

— Malarz.

— A ja jestem (wymienił nazwisko), właściciel znanej firmy, handel herbaty i kawy. O naszej firmie pan słyszał?

Wyspiański, nie odpowiadając, oglądał przybyłego. Gość, nieco zmieszany tem przyjęciem, począł rozglądać się wokoło.

Pokój na drugiem piętrze miał okno na Rynek i przesmyk między kościołem Panny Marji, a grupką kamienic i kościołem Świętej Barbary. Na ziemi walał się stos pudełek z farbami pastelowemi, pędzle i rulony kartonów. W głębi, na ścianie, wisiała półka z nieheblowanych desek, pełna książek.

Sofokles po francusku, lipskie wydanie Mickiewicza, ilustrowane roczniki krakowskie, „Katedra na Wawelu" Wojciechowskiego, Kronika Wincentego Kadłubka, „Mieszko Stary" Smolki, „Historja powstania listopadowego" Barzykowskiego, kilka tomów Lelewela, „Rycerstwo wieków średnich" Piekosińskiego i czyjeś francuskie studjum o Dancie.

Prócz tych „Wzory sztuki średniowiecznej" Rastawieckiego i Matejki „Ubiory w dawnej Polsce". Książki te leżały na stole niepoliturowanym, kuchennym, stojącym na środku pokoju, przed szerokim i wygodnym fotelem wolterowskim. Karty książek widniały rozchylone, jak gdyby przed chwilą otwarte do czytania. Nad łóżkiem, od sufitu, zwieszała się ku ziemi zasłona wspaniałej karmazynowej barwy, z gorszego zato materjału, lustryny czy czegoś podobnego, a w tej chwili odrzucona poza oparcie łóżka. Krwawa łuna zasłony płomiennymi refleksami oświetlała na ścianach istną galerję pastelowych szkiców, studjów i obrazów, greckich bohaterów, aniołów, królów, senatorów i skrzydlatych husarzów.

Posępnie odbijał od nich witraż z Świętą Salomeą, która upuszczała z rąk koronę królewską, rysowany węglem.

Kartony, bez ram, były zlekka przymocowane do ściany gwoździkami. Reszta, a była ich nieprzeliczona ilość, kłębiła się w bezładnych stertach w poniewierce na ziemi.

Obcy pan długo patrzył na to, poczem odetchnął głęboko.

— Przyszedłem w interesie. Dawniej o afisz zwracałem się zagranicę, do fabryki malarskiej w Insbruku. Teraz, słyszę, mówią wszyscy o nowej sztuce. O popieraniu przemysłu krajowego. Bardzo słusznie. Jestem też tego zdania. I dlatego pragnąłbym znaleźć lepszego tutejszego malarza i oferować mu robotę. Wywiedziałem się o adres pana i przyszedłem.

— Chciałbym prosić pana o projekt afisza reklamowego dla mego składu kawy i herbaty, — mówił kupiec. — Gotów jestem dać zadatek.

Malarz ani spojrzał.

— Myślę, że pójdzie to panu gładko. Na każdym z tamtych afiszów, i etykiet, w różny sposób, przedstawiona była kawa i herbata, a obok nich łyżeczka z gwiazdką. To moje godło.

— Dlaczego z gwiazdką? — spytał wreszcie Wyspiański.

Pytanie to sprawiło gościowi widoczną przyjemność. Z niedowierzaniem oglądnął zydel, zbrudzony farbami i usiadł ostrożnie.

— Był to jeszcze pomysł mego ojca. Gwiazda na godle firmy to niby dobre przewodnictwo i szczęście. Nie zawiodło mnie w życiu.

Gospodarz okazywał się małomówny, ale to zdawało się już nie krępować kupca.

— Byłbym bardzo ciekawy, — mówił, jaki pan będzie miał pomysł dla afisza. Trzeba żeby był wpadający w oczy, zrozumiały i do gustu publiczności.

Na mieście biła któraś godzina. Wyspiański patrzył w okno, jakgdyby wsłuchiwał się w echa dzwonu, dolatujące z wieży ratusza. Gruby pan poprosił o pozwolenie zapalenia cygara, a gdy poeta skinął głową przyciął cygaro i dmuchnął kłębami dymu.

— Rozmawialiśmy o tem w domu z żoną, i pomysły me opowiadałem personelowi w sklepie. Scenki rodzinne i egzotyczne, okręty, plantacje kawy i herbaty, harem, Chinki, Turczynki. Wszyscy podziwiali. Pan będzie miał może inne pomysły, lepsze? Bardzo proszę.

Wyspiański uśmiechnął się uprzejmie do swego gościa, ale nic nie odpowiedział.

— Córka moja radziła mi, żebym prosił pana o afisz fantastyczny. Córka moja pięknie maluje. Uczy się już trzeci rok. Za lekcje płacę.

Wyspiański słuchał tej gadaniny niewzruszony, zadumany, jak gdyby słuchał ćwierkania wróbli w polu.

— To ja już pójdę, — zadecydował gość. — Zamówienie pan przyjmuje? Wymiar afisza trzeba, żeby był na sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów wysokości i wyraźny. Dobrze? Ile to będzie kosztowało? Pan jeszcze nie wie? Więc ułożymy się później. Nie jest to po kupiecku, ale w sprawie artystycznej się godzi. Daję sto guldenów zadatku.

Dobył portfel, odliczył i położył banknoty na stole.

— Kładę tu, koło flaszki z atramentem, zadatek na afisz i etykietę firmy, sprzedaż kawy i herbaty, łyżeczka z gwiazdką.

— Dziękuję.

— I ja dziękuję. Proszę mi dać znać za dziesięć dni. Wszystko będzie już pewnie gotowe? Do widzenia.

Ukłonił się. Potem potknął się na okładce pustego bloku na ziemi. Raz jeszcze ukłonił się i poszedł.

W następnych dniach Wyspiański zabrał się do ostatecznego wykończenia i wydania poematu „Kazimierz Wielki". O sprzedawcy kawy i herbaty, i jego zamówieniu, zapomniał.

Upłynęły trzy tygodnie. I znów pewnego dnia w południe, gdy poeta leżał jeszcze w łóżku, ktoś energicznie zapukał do drzwi. Był to pleczysty stary pan, coś trochę, jak gdyby już widziany kiedyś. Schody do mieszkania były wysokie i strome, więc grubas dyszał z trudem. Spostrzegł przytem, że gospodarz nie poznaje go i stropił się nieco.

— To ja... Zamówiłem projekt afisza dla mej firmy.

— Tak, tak.

— Złożyłem zadatek.

— Tak.

— Sto guldenów.

— Tak.

— Afisz jest?

— Nie miałem czasu.

Kupiec usiadł i namyślał się, co powiedzieć.

— Już południe — rzekł w końcu. Druga godzina.

— Być może.

— Czy pan tak zawsze długo leży?

— Często.

— Dlaczego?

— Aha. Wie pan, kiedy raz w interesie firmy pojechałem do Insbruku, wybrałem się do mieszkania malarza, który kilka razy wykonywał dla mnie rysunki na etykiety i ornamenty sklepowe. Mieszkał w pięciu pokojach, a żona jego do mnie wyszła w atłasach. Ale on był w fabryce, dla wydania zarządzeń litografiarni już o siódmej rano, a dziennie projektował dla firm handlowych pięć, sześć, — afiszów.

Wyspiański nic nie odpowiedział. Pionierowi sztuki stosowanej zrobiło się czegoś przykro.

— Ja jednak i moja córka (robi w malarstwie coraz większe postępy), chcielibyśmy na nowy sezon mieć afisz wyrobu krajowego i to od pana. Podpis pana pod moją etykietą i panu przyczyni się do rozgłosu. Towar mój rozchodzi się nietylko w Krakowie, wysyłam dużo na powiaty, do mniejszych miast. Zatem jeszcze zaczekam. Może tydzień? dwa? Nie dłużej, bo czas nagli. Dobrze?

— Dobrze.

— Więc za dwa tygodnie. Proszę, aby pan mi dał znać, gdyż samemu trudno mi się wyrwać ze sklepu.

Tymczasem tego dnia Wyspiański rozpoczął szkicować swe witraże do katedry wawelskiej.

Któregoś dnia łaskawie pokazywał mi projekty witrażów.

— A cóż afisz? — spytałem.

Znałem tego kupca z widzenia i ze słuchu. Był to najzwyklejszy „zjadacz chleba", ale jeśli to możliwe, zacny i dobrej woli.

Wyspiański zaczął szukać po kieszeniach i podał mi wąski, biały papierek.

— Recepis? Odesłał mu pan zadatek?

— Odesłałem.

Trudna rada. Stało się. Cóż było mówić?

— Szkoda.

Poeta powtórzył żartobliwie.

— Szkoda.

Nie dbał o zarobek. Przerwał malowanie plafonu w jednym z salonów pałacu w Okocimie, zrażony dyletackiemi uwagami właścicieli pałacu, i zwrócił otrzymany zadtek. Nie uległ życzeniom komitetu odbudowy Katedry Wawelskiej przeinaczenia projektowanych dla Katedry witrażów, w rezultacie czego komitet projekty odrzucił. Obojętnie, niefrasobliwie, znosił nędzę. Oparciem była mu wiara w dokonywane dzieło, a i otaczający go urok atmosfery towarzyskiej. Wprawdzie prezes stowarzyszenia „Sztuka", wielki realista, Chełmoński, nazwał jego „Skarby Sezama", — cholerą japońską, ale inni najświetniejsi ówczesni malarze, Stanisławski, Malczewski, Fałat, Wyczółkowski, Axentowicz, Mehoffer, wyczuwali w pełni oryginalność i moc twórczą jego ducha. Malarstwo Wyspiańskiego było stale przedmiotem ich roztrząsań i sporów. Z czasem spowodowali powołanie go na katedrę profesora Szkoły Sztuk Pięknych. Towarzyszyło mu uwielbienie uczniów. Najbliżsi sercu byli mu uczniowie Drabik i Weiss.

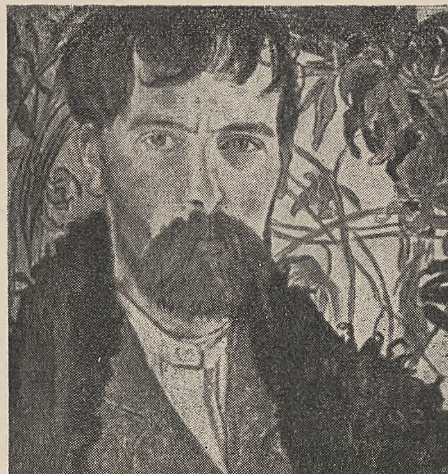
Utwory dramatyczne? Na scenę?

— Czy już nie lepiej, żeby malował? — mówił litościwy krytyk p. L. S.— „Lelewel" klapnął. „Legendy" i tych jakichś greckich tragedji nie znam. Zdaje się jednak, że to nic nie jest. Może jako malarz prędzej dojdzie do czegoś?

Wątpił i przeczył, czy dojdzie, p. W. Pr., drugi krakowski zoil. Coprawda, także nie przypadały te utwory do smaku klasykom. Dziś, gdy posypały się tomy studjów i komentarzów, niełatwo wyznać się w wartości. Ale wtedy fakt wystawienia „Wesela" na scenie Teatru Miejskiego przez dyrektora i dzierżawcę teatru, Józefa Kotarbińskiego, był ze strony państwa Kotarbińskich wielce wspaniałomyślnym gestem. Wcześniej przedtem, wbrew oficjalnej krytyce, pisarze „z prawdziwego zdarzenia" wiedzieli, kto zacz on poeta. Godzi się to na pochwałę minionych lat przypomnieć, — Asnyk i Sewer, Tetmajer i Przybyszewski, i najmłodsi—„logarytmy przyszłości" Kisielewski, A. Górski, Siedlecki, Nowaczyński, Jedlicz, Boy jeszcze wówczas niepiśmienny T. Żeleński, wszyscy oni darzyli Wyspiańskiego żywą adoracją.

Nie omylili się. Nie wątpili, że przecie „dojdzie do czegoś".

*Antoni Godziewba-Wysocki*



*Autoportret S. Wyspiańskiego*

# SZCZYGLIŃSKI JAKO PEJZAŻYSTA

Kiedy wchodziliśmy niedawno do wielkich sal „Zachęty", by oglądać jubileuszową wystawę mistrza Szczyglińskiego, witały nas radośnie blask i barwa. Jak estetycznie umie je odczuwać, jak silnie odtwarzać znakomity pejzażysta!

Wszystko pali się, błyszczy, źwierciedli. Nawet noc ma głęboki, ciemny koloryt i stroją ją barwne cienie. Nawet rdzawe sosny na żółtym piasku mają jakąś przejmującą potęgę.

Nie to jednak tylko jest miarą jego sztuki i talentu. Były uczeń niezapomnianego Stanisławskiego zachował jedną z wielkich, a ginących tajemnic wszystkich prawdziwych artystów. Żyje razem z tem, co tworzy, zespala się z dostrzeganym krajobrazem.

Z tego połączenia duszy i otoczenia powstaje dzieło odczute, zrozumiane po malarsku. Jest w niem poezja zmroku, śniegu czy słońca, poranku czy zachodu. Tem bliższem nam się staje, tem ciekawszem, im dłużej mu się przypatrujemy. Wsącza w nas powoli, lecz pewnie swój smutek, radość lub zadumę. Otwiera przed nami jakąś dal..

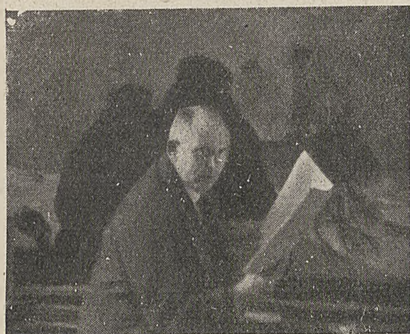
Kiedyś przed laty, Szczyglińskiemu zarzucano szarość, ale nikt nie zarzucił mu nigdy, by używał martwych, brudnych tonów, tak ku szkodzie własnej używanych teraz przez wielu malarzy. Mózg nie zabił w nim serca, manjera — odczucia piękna. Nie rozkłada widzianego widoku na trójkąty lub kwadraty. Nie zabija tego, co żyje.

Niekiedy chce pokazać, że mógłby łatwo przystosować się do późniejszych, choć dziś już starzejących się kierunków. Dla zabawy rzucił na płótno świetny technicznie niemal futurystyczny „Widok z okna pędzącego pociągu". Chciał odtworzyć ruch. Ale i ten widok ma logikę i sens..

Szczygliński posiada i tę zaletę, że jest szczerze polski. O patrjotycznem jego uczuciu świadczą owiane ogromnym smutkiem pejzaże z czasów wojny 1914 — 1918. Odnajdujemy wśród nich sławne dziś „Starym ojców naszych szlakiem" i „Wigilje legjonistów". Jeden z nich jest w Belwederze, drugi w Zamku. Nie brak wogóle jego obrazów w państwowych zbiorach. Trafiły nawet do muzeów zagranicznych.

Wiele prądów w sztuce starzeje się już, Szczygliński nie stracił swej młodości. Nie szuka podniety do twórczości w spalonych słońcem Tunisie czy Algierze. Barwę i blask ma w sobie i coraz hojniej rozrzuca je w swych obrazach.

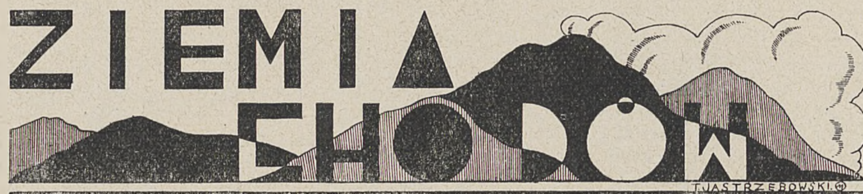
M. S.



*Henryk Szczygliński*



*Kwitnąca sosna* Mal. H. Szczygliński




„Leżą chmury siwe nad Czerchowem", a Czerchow leży na granicy Szumawy i Czeskiego Lasu, oddzielając swym masywem Bawarję od przepięknego i jedynego w swoim rodzaju zakątka ziemi czeskiej, jakim jest kraj Chodów.

Nie duży to kraj. Dwanaście wiosek blisko siebie położonych, a króluje śród nich jedno tylko miasto — Domażlice.

Nieduży kraj, ale pełen piękna i romantyzmu. Zabłąkanego w te dalekie strony Polaka powita legenda, że jakoby Chodowie, wolne plemię góralskie, są potomkami synów Lechickiego ludu, przed wiekami rzuconymi tu — pod bawarską granicę losu ręką tajemniczą. Legenda budzi ciekawość, zainteresowanie specjalne. Uważnie więc zwiedzam i miasto Domażlice i wszystkie dwanaście wsi. Wita mnie uśmiech gościnny, serdeczność, która na dźwięk polskiego imienia zyskuje wszystkie akcenty braterskiej sympatji. Ułatwione jest więc poznanie Chodów i ich ziemi.

Chodowie — lud wolny, nigdy żadnemu nie służyli panu.

Przez królewskie przywileje uzyskali zaszczytne prawo strzeżenia granicy. Zbrojni w ciupagi, z wyrzeźbionemi na nich psiemi głowami, w towarzystwie wiernych psów, w mgłach Szumawy obchodzili kamienie graniczne, czujnie strzegąc bezpieczeństwa włości rodzimych. Od głów psich na ciupagach nadano im miano „psochławców". Ci psochławcy rycerzom w męstwie byli równi i nieraz — z bawarskimi książętami do krwawej stawali walki.

Bo jak mówi pieśń...

Leżą chmury siwe, leżą nad Czerchowem,<br>
hej! wnet w lesie wstaną wszystkie nocne sowy!<br>
Nad górami chmurno, pod górami mgliście<br>
Gdzie jest nasze słońce świecące złociście?<br>
Do Niemiec nam zaszło, nie wiemy gdy wzejdzie,<br>
Z Niemiec do nasz burza i zła wojna przyjdzie,<br>
Przyjdzie jako upior krwawą ciemną nocą...<br>
Czy te ciemne lasy drogę jej zagrodzą?<br>
Przyjdzie jako morze w niestrzymanym biegu<br>
Hale! pewnie góry znajdzie zamiast brzegu!..

Żaden niemiecki sąsiad nie mógł spokojnie przeżywać swego pracowitego istnienia.

Gwarantką bezpieczeństwa nie mogła być Szumawa.

A Chodowie... Nie znosili pana nad sobą. Gdy przeznaczenie mocniejsze od ich męstwa pana im narzuciło, zrzucali go szybko z wyżyn władzy.

Stoi śród jodłowego lasu na jednem ze wzgórz pomnik chodzkiego bohatera, Jana Koziny, co to z czakanem w ręku porwał się na grafa Lamingena, który ugniatał stopą żelazną pierś wolnego ludu.




*Dolne przedmieście z bramą w w Domażlicach*

O Kozinie do dnia dzisiejszego śpiewa lud w dwunastu wioskach, wspominając te górne i chmurne czasy, kiedy Chodowie ptakom podobni byli i w błyskawicach na Czerchowie Bogu troski swoje powierzali. Dziś wspomnieniem tych czasów jest pieśń i typ wieśniaka specjalny: wygląd dzielny, spojrzenie śmiałe, jakie Choda od reszty Czechów odróżnia. Mowa odmienna, ludowe klechdy i podania różne swym tłem i nastrojem od powieści sąsiadów, strój własny, własne zdobnictwo i budownictwo najzupełniej osobliwe.

W sposobie budowania domostw, zawarte są ślady dawnych czasów niespokojnych, bo każda zagroda tworzy zamkniętą w sobie najzupełniej całość, na sposób małej fortyfikacji

Dla badacza ludowych obyczajów i zwyczajów, dla etnografa raj, ziemia obiecana wzruszeń i odkryć nieoczekiwanych.

Dla turysty kraj ten kryje inne jeszcze cudowności, które posiadają specjalnych piewców. Nieadwno, przed kilku laty zgasł tej ziemi opowiadacz najwierniejszy, pisarz z ludu pochodzący, śród wieśniaków życie całe tworzący o włościanach i dla włościan swe liczne powieści. Jindrzich Sz. Baar.

W jednej z dwunastu wsi pokazywano mi domek, w którym żył i pisał, a w którym lud wierny stworzył muzeum pamiątek po ukochanym pisarzu.

Poznałem innego piewcę tej ziemi, siedemdziesięcioletniego starca Jan Hruszkę, również wieśniaka o włościanach piszącego. Pięknie plonuje talentami ta niewielka ziemia, a ma ten czar osobliwy, że talenty są osiadłemi tej ziemi ptakami. Trzecim z takich ptaków młodym jest J. Urba, najpoczytniejszy dziś w Czechosłowacji piewca przyrody.

Bo też przyroda w tej krainie — „zazraczna", jak mówią Czesi, a co się na polski język słowem „cudowna" tłumaczy.

Ods trony południowej, niemieckiej, masyw gór, w chmurach zatapiający czoła — surowa przyroda, matka surowych ludzkich obyczajów; od ciemnych chmur spada płaszcz ciemnych lasów, zboczami w małe, ciche, liczne dolinki, w których jak gwiazda ptasie, kryją się osiedla ludzkie. Dziś, niestety, zmieniają one swój starodawny wygląd — cywilizacja trafia nad srebrne jeziorka do żywicznych lasów, tworzone są małe bady i kąpieliska z dziwnemi nazwami, jak nap. „Babylon"! Ku północy z lasów i dolin wybiegają białe taśmy dróg, ścielące się do serca państwa — do Brna i Pragi.

Charakterystyczną cechą tej ziemi jest słodka cisza, dzwoniąca swoją pieśń całodzienną melodją tak czarowna, że przeistaczającą serce człowieka i przeradzającą całe jego jestestwo — wyzwoleniem z trosk, które wlecze myśl za sobą przez wszystkie drogi życia. W balzamicznem powietrzu tej ciszy czarodziejskiej jesteśmy bliżej samych siebie i tych czasów baśniowych, w których nie było granicy między Przyrodą, człowiekiem i Bogiem.



*Chodzki zamek*

Wspomniany już Jindrzich Baar zatytułował jedną ze swych książek nazwą „W sercu Przyrody". Istotnie, do — niedawna czuł się tu niewątpliwie człowiek w sercu przyrody, nie dlatego, iżby przyroda tutejsza specjalnie daleko odbiegała od siedlisk ludzkich, albo była jakimś osobliwie wielkim i specjalnie w Europie zachowanym rezerwatem, ale dlatego, że było tu i jest jeszcze z tej przyrody, to co jest najistotniejsze dla człowieka — jej serce, serce tętniące rytmem spraw wiekuistych, dla oczu utajonych i jeno sercem wyczuwanych.

Bo od wieków była przyroda ta bliska osiedlom człowieczym. Stolicą tej ziemi są przecież stare Domazlice, miasto obdarzone wieloma przywilejami królów czeskich. Całe zbudowane jeszcze przez średniowiecznych i renesansowych architektów, posiadające kilka osobliwości.

Jedna z nich, to rynek — podłużny prostokąt, cały otoczony domami z podsieniami. Kolumnada otacza długi plac, na jednym końcu którego znajduje się brama wjazdowa i wielka, okrągła czarna wieża, a na drugim klasztor augustjanów. Inna osobliwość, to muzeum, w którem rękoma jego założyciela prof. Trefnego, zebrane jest wszystko, co na Chodsku zebrać należało i potomności na pamiątkę zostanie. Jeszcze inna osobliwość — to mieszkańcy. Gościnność i serdeczność dla polskiego dziennikarza — nie dająca się opisać. W ciągu dwuch dni mego pobytu w Domailicach wtajemniczony zostałem we wszystkie tajemnice miasta i okolicy, z których się częściowo zierzam w tym artykule Dowiedziałem się nawet dlaczego Pan Bóg stworzył Chodów, ale powtórzenie tego ludowego podania zajęłoby nam zbyt wiele miejsca, więc za zezwoleniem naczelnego redaktora ciekawą tą legendę opowiem w którymś z następnych numerów. Tymczasem pragnę dodać to jdno, że pod Czerchowem w ziemi Chodów, tak jak i w polskich Beskidach, Chrystusiki kapliczne przy drogach stojące, zatrzymują bez celu błądzącego turystę i opowiadają mu o jednym celu jedynym, który drzemie w sercu człowieczem.

*Ludomir Rubach*

# W NOC WIGILIJNĄ

*W noc wigilijną, gdy nad polską ziemią*
*Srebrny opłatek księżyca zaświeci,*
*Za jego światłem serce me uleci*
*Na białe pola, które w śniegu drzemią.*

*Popatrzę z góry na spraw naszych całość,*
*Na liche kłótnie, na jałowe waśnie*
*I poprzez śniegów nieskalanych białość*
*Pójdę ogromny w księżycowe jaśnie.*

*I dusza moja wszechświat miłująca,*
*Nad widnokręgu zawieszona skrajem,*
*Srebrnym opłatkiem cichego miesiąca*
*Dzielić się będzie z mym ojczystym krajem.*

*I w ciszy nocy życzenie jedyne*
*Wyszepce wtedy ustami drżącemi:*
*Daj Wielki Boże! zanim ja przeminę*
*Pokój i zgodę naszej polskiej ziemi.*

*Henryk Zbierzchowski.*

# SCENA i ŻYCIE

TEATR POLSKI. *„Nietoperz“ — operetka Jana Straussa.*

Po wystawieniu „Nietoperza“, pełnem nieosiąganego od lat sukcesu, okazało się, że operetka przeszła do lamusa jedynie wskutek niedbałego jej traktowania przez reżysera oraz inscenizatora. Z chwilą powstania rewji zarówno dyrekcje teatrów jak i artyści, a nie mniej i publiczność pochłonięci zostali tym nowym, pełnym efektów rodzajem sztuki scenicznej tak dalece, że szablonowy obraz operetki przestał wogóle interesować. Zgrywali się aktorzy, marnowały się głosy, aż do ostateczności.

I oto nagle operetka ocknęła się i upominała o swe dawne, nieprzemijające snadź prawa. Ubrała się efektownie, uczesała się a la garcon i stanęła do walki o pierwszeństwo z rewją. Teatr Polski contra Banda w teatrze Małym.

Sukces. Może pożyczyła sobie operetka wiele od rewji, ale że z natury rze czy miała w sobie więcej walorów artystycznych, więc nic dziwnego, że prześcignęła wyrazem efektów swoją młodszą siostrę i zwyciężyła ją na scenie teatru Polskiego. A są wszelkie znaki na afiszu (doczeka się setnego przedstawienia), oraz w kasie (artyści otrzymują gażę), że zwycięstwo jej nie jest przemijające. Niby ta sama operetka, a przecież całkowicie inna. Istotnie, treść libretta i treść muzyczna pozostała prawie ta sama, ale sposób ukazania tego widzowi o całe niebo odmienny od poprzedniego.

TEATR ATENEUM. *Kapitan z Koepenick — sztuka Karola Zuckmayera.*

Wychowywanie społeczeństwa w tem przekonaniu, że mundur wojskowy, czy policyjny jest wszechmocny, niezależnie od tego, jakiego człowieka mundur ten przykrywa — może płatać złośliwe figle. Przykładów takich wiele dostarcza historja, a nie brak ich i w chwili bieżącej. I oto jeden z nich dostał się nawet dla ośmieszenia tej ideologji na scenę.

Tym razem był to przeciętny szewc, (a więc nie sprytny, protegowany łobuz), obciążony — słusznie, czy niesłusznie — piętnem długoletniego więźnia. Ten oto człowiek skończony społecznie— zgodnie z panującemi w Niemczech przepisami policyjnemi — powziął iście groteskowy, a podyktowany rozpaczą plan błyśnięcia raz jeden w życiu, przynajmniej na krótko, wszechwładną mocą popielatego płaszcza ze „złotemi“ guzikami i czerwonym kołnierzem.

I celu dopiął. Poniewierany dotychczas przestępca w przebraniu oficerskiem trzęsie władzami małego miasteczka. Inna rzecz, że nie zdobył sobie nowego paszportu. Winien temu fatalny zbieg okoliczności. Zresztą autorowi najwidoczniej nie chodziło o tę stronę anegdoty, czy rzeczywistości. Wystarczyło mu napiętnowanie prowadzącego do absurdu ducha militarystycznego.

Nikt może z naszych artystów nie nadawał się tak do odtworzenia głęboko psychologicznie ujętej roli zbrodniarza, jak — Jaracz. Nikt zapewne nie dałby jej tyle przekonywujących akcentów mimicznych, głosowych i t. d. — akcentów poczynających się od przygnębienia i bezradności, a przechodzących poprzez oburzenie, rozpacz, zadowolenie moralne i cichą, rezygnacyjną filozofję sceptyka. To też sztuka Zuckmayera, będąc wiernem odbiciem „drylu“ pruskiego, zyskała dzięki grze Jaracza ten iście artystyczny poziom dramatu, jakiego dawno już nie podziwialiśmy na scenie. Każda odsłona jest tu czemś nowem, interesującem. I zawsze Jaracz jest inny — na tle tych samych moralnie ludzi. A ludzi tych artyści teatru Ateneum grali bez wyjątku doskonale.

*P. S.* Dla ścisłości dodać jeszcze należy, że z racji 25-lecia śmierci Wyspiańskiego dwa teatry wystawiły jego dzieła. Teatr Narodowy — Wesele, teatr Ateneum — Sędziów.

Zbyt znane są wszakże społeczeństwu te dwa czołowe utwory poety, aby w kilku wierszach można było coś jeszcze ponad ustaloną o nich opinję powiedzieć.

O tem zaś, jak zostały wystawione, również niema co mówić, gdyż ani na chwilę nie należy wątpić, że każdy będzie uważał za swój obowiązek przekonać się osobiście, z jakim pietyzmem tego dokonano i oddać hołd wielkiemu pisarzowi rozszarpanej zaborami Polski.

TEATR LETNI. *Podróż poślubna pana dyrektora — komedja w trzech aktach Jana Adolfa Hertza. Reżyserja Emila Chaberskiego.*

Można upierać się przy tem, żeby perfumy sprowadzać z Paryża, homary z Anglji, a pomarańcze z Italji. I płacić obcym haracz za zbytek, którego nie posiadamy w kraju. Ale grzechem i to pierworodnie polskim jest sprowadzanie scenicznej tandety wtedy, kiedy naszych autorów stać na sztuki godne eksportu, przynoszącego nam zaszczyt. Odetchnie spokojniej sprawozdawca teatralny, z uczuciem ulgi westchnie widz, a i budżet niejednego rodzimego autora poprawi się, jeżeli dyrekcje teatrów dobitniej uświadomią sobie tę prawdę, zwłaszcza teraz w dobie kryzysu.

Bo i czemże jest ostatnia sztuka Hertza, jeżeli nie rzetelnie obmyśloną i konsekwetnie przeprowadzoną komedją? I to komedją niewyszukaną, niezawiłą, prostolinijną, pogodną, a nadewszystko życiową. Bo i czemże jest sztuka, w której kolizję są wynikiem przypadku i wewnętrznych impulsów, nie zaś nastawienia autorskiego; wynikiem istotnych charakterów — nie ich rysunków, narzuconych widzowi *per fas et nafas?*

A gdy kunszt rzetelnego talentu oplecie i przeplecie ciepło szczerego uczucia — wtedy komedja nabiera tego uroku, jakim już zrzadka tylko może się pochwalić dzisiejsze rzemiosło dramatyczne. I dlatego właśnie, że usiłuje stworzyć modę na... uczucie.

Jedzie sobie niedobrana para w podróż poślubną. I oto nagle, jak piorun z zachmurzonego nieba, zjawia się ten trzeci, który niebawem stać się ma tym pierwszym. Nieco komicznych sytuacji, tyle akurat, ile trzeba, aby podkreślić „niewystarczalność“ nowożeńca i życzliwie usposobić widza dla jego następcy.

Nieco sentymentu, aby obudzić w nim przypruszoną gwarem dnia żywość uczuć szlachetnych, szczypta dowcipu, aby obalić nieuzasadnione jego objekcje prawne (jeżeli je wogóle posiada) — a po zażyciu kilku łyżek mikstury, sporządzonej według tej swojskiej recepty — widz na długo zostaje wyleczony z fatalnej czkawki zagranicznej. Komedja Hertza ma więc i tę dobrą stronę, że staje się propagandą komedjopisarstwa polskiego.

Grano komedję tak samo pogodnie, jak jest napisana. Nikt nie szarżował— nawet Grabowski. Może tylko Orwid, swoim zwyczajem, był zbyt pijany. Zato Wesołowski nie stracił ani jednej okazji, aby ująć publiczność szczerym wdziękiem romantyzmu młodości. Smosarska w małej coprawda rólce zdołała wykazać tyle charakteru, aby ją zrozumiano i tyle subtelnego czaru, że nawet największy purytanin nie winiłby jej za złamanie przysięgi małżeńskiej — pardon — zdecydowaną wolą do cofnięcia jej. Kapitalną postać hotelowego portjera stworzył Walter, a p. Jarszewska, jako matka, i p. Micińska, jako córka, uwypukliły doskonale nieprzemijający smaczek rodziny mieszczańskiej. Reżyserja dyr. Chaberskiego uwydatniła pogodne założenia autorskie w najwyższym stopniu.

TEATR „MORSKIE OKO“ — *Brawo! Bis! — rewja w 30-tu obrazach.*

Aby widzowi, który nie był na premjerze, dać poznać intymną opinję wpływowej krytyki, powtórzę djalog, zasłyszany podczas wkładania palt w szatni.

Jeden z najbardziej grubych zarówdziej grubym i najmniej złośliwym krzykiem teatralnym:

R. Wcale dobre?
K. I nie szablonowe...
R. Powiedziałbym nawet... moralne.
K. A jednak nie mdłe.
R. Nawet naga Alesso sprawiała wrażenie czegoś, czegoś...
K. ... najprawdziwszego bronzu.
R. Mankiewiczówna kapitalna.
K. Nawet Jarkowska, choć po raz pierwszy występuje w rewji, a przecież...
K. Nie gorsza od Zuli Pogorzelskiej.
R. Krukowskiemu tylko czegoś brakowało...
K. Piosenek... Lopka.

Dalej nie słyszałem, bo wsiedli do taksówek i odjechali — gruby redaktor, aby w ciszości ducha marzyć o tańcu bronzowej figurki — Alesso, a gruby krytyk, aby natychmiast napisać o rewji, że była „dosyć“ melodyjna, nie przeładowana występami girlsów i że gdyby jeszcze to, to wtedy i t. d.

Cóż mam dodać jeszcze od siebie? Ano chyba tyle, że musicie państwo sprawdzić opinję wpływowej prasy o rewji „Brawo! Bis! „Kto wie, może, wychodząc z rewji, zawołacie szczerze: Brawo! Bis!

*M. Jarosławski*




## NOWOŚCI GWIAZDKOWE

*WYDAWNICTWA M. ARCTA*

*Janina Porazińska.* WESOŁA GROMADA. Z 30 kolorowemi ilustracjami i barwną okładką *M. Byliny*, zł. 4.—.

Są to pełne humoru i życia opowiadania z życia szkolnego w IV oddziale szkoły powszechnej, oparte na motywach wychowania obywatelskiego. W każdym rozdziale autorka w nader zręczny sposób przeprowadza zamierzoną ideę, których suma wpoi w dzieci zasady praktycznego patrjotyzmu dnia codziennego.

*Helena Grotowska.* JENIEC Z PÓŁNOCY. Z 7 rysunkami, w barwnej okładce *W. Romeykówny*, zł. 1.50.

Na niewielkiej liczbie stron autorka w ciekawy sposób rozsnuwa dzieje rodziny niedźwiedzi polarnych. Z książeczki tej młodociani przyrodnicy poznają barwnie odmalowane krainy Północy.

*Marja Buyno - Arctowa.* NASZA MALEŃKA. Powieść dla młodzieży. Wydanie wytworne, zilustrowane przez *W. Romeykównę*, 360 str., 75 obrazków i trójbarwna plansza. W opr. zł. 10.—.

Powieść ta z pewnością wywoła może duże poruszenie w licznych rzeszach młodych zwolenników sportu automobilowego. „Nasza Maleńka" to samochód, na którym jego właściciel i kierowca, Wacek Żubrawski, dokonywa niezwykłych czynów, walcząc o ukryte skarby z szajką przestępczych Niemców. Powieść poza interesującą treścią i zreczną intrygą, posiada duże wartości krajoznawcze, gdyż „Nasza Maleńka" odbywa podróże po najpiękniejszych częściach naszego kraju.

*Janina Hełm - Pirgowa.* ZASTĘP. Powieść dla młodzieży od lat 12 do 16. Brosz. zł. 4.80. W oprawie kartonowej z kolorową okładką i barwną obwolutą *Z. Jurkowskiego*, zł. 6.—.

Zastęp stanowi grupa młodzieży szkolnej, pracująca bezpośrednio przed wybuchem wojny nad zachowaniem i krzewieniem ducha polskiego, wskutek czego ściąga na siebie prześladowanie władz rosyjskich. Powieść ta, trzymająca czytelników w nieustannem napięciu, bezwątpienia zwróci na siebie uwagę starszej młodzieży, jako pomost między teraźniejszością, a niedawną przeszłością.

*Gertruda Page.* PADDY DO WSZYSTKIEGO. Powieść dla dorosłych i starszej młodzieży, szczególniej dla panienek. Tłumaczyła *Marja Dynowska.* (Czerwone książki Nr. 2). W barwnej okładce *J. Kilian - Stanisławskiej*, broszurka zł. 6.40, karton zł. 7.50, opr. płóc. zł. 8.80.

W powieściach tego rodzaju lubuje się starsza młodzież, a szczególniej panienki. Główną bohaterką jest zawadjacka, pełna życia i temperamentu Paddy, która daje sobie radę we wszelkich powikłaniach życiowych. Mimo, że nie jest zbyt piękna, wdziękiem swym podbija całe otoczenie. Treścią tej jasnej, pogodnej, choć czasem dla kontrastu ciemnionej, powieści są dzieje miłości kilku młodych par, owiane szlachetnością charakterów i wzniosłością uczuć.

*Rex Beach.* SREBRNA ŁAWICA. Powieść dla dorosłych i starszej młodzieży. Tłum. z ang. *St. Heymanowa.* Z kolorową obwolutą *L. Jagodzińskiego.* (Czerwone książki Nr. 20), Brosz. zł. 6.40, opr. płóc. 8.80.

Obraz Północy, z którą zapoznali nas London, Curwood, jak również Rex Beach, znakomicie uzupełnia i z nieznanych dotychczas stron przedstawia „Srebrna ławica", Srebrna ławica — to nieprzeliczone masy łososi, wpływające na okres godów do rzek. O nie właśnie stacza zaciekłą, nieubłaganą walkę Boyd Emerson z nieprzebierającą w środkach, potężną, konkurencyjną wytwórnią konserw. Położenie wikła się tem bardziej, że na czele wrogiego koncernu staje ojciec ukochanej przez Emersona kobiety.

*J. I. Kraszewski (B. Bolesławita).* SCENY SEJMOWE. Grodno 1793. Powieść historyczna dla dorosłych z czasów Sejmu Grodzieńskiego, z kolorową okładką *L. Jagodzińskiego.* Brosz. zł. 3.60, opr. w pł. zł. 5.40.

Za temat powieści wziął Kraszewski jeden z najtragiczniejszych momentów w naszej historji — Sejm Grodzieński wraz ze zmaganiem się nieszczęsnej garstki patrjotów z przemocą rosyjską. Szczególnie jednak wstrząsająco wypadły zbrodnicze machinacje popleczników moskiewskich, jak również świetnie odmalowana jest długa galerja ich typów.

DWIE PIĘKNE KSIĄŻKI *ukazały się w nakładzie Domu Książki Polskiej.*

*Zakrzewskiej Heleny.* „POJEDNANIE". Opowieść o niedźwiedziu tatrzańskim, z rycinami Leli Pawlikowskiej, w barwnej oprawie, str. 228. Zł. 6.—, w oprawie 7.50.

Znana i ceniona autorka „Dzieci Lwawa", „Białych róż" i wielu innych powieści wystąpiła tym razem z przepyszną powieścią tatrzańską, która młodzież i dorośli, a zwłaszcza miłośnicy gór, przyjmą entuzjastycznie.

„Pojednanie" jest to opowieść o wieloletniej walce pierwotnego człowieka, jakim jest stary góral - myśliwiec zapalony, Wojtek Mateja, z przyrodą, z niedźwiedziem tatrzańskim, Misiem Mocarnym, która po wielu zmaganiach kończy się pojednaniem, dzięki małej wnusi górala, ukochanej jego Hańci.

Książka napisana sercem, ogromnem wyczuciem natury tatrzańskiej, wspaniałą polszczyzną, doskonale zbudowana, pełna niezwykłego uroku, jakim tchnie bajeczny świat Tatr.

Znakomite ilustracje i piękna okładka Leli Pawlikowskiej składają się harmonijnie na całość tej, pod każdym względem pięknej książki.

*Gąsiorowskiego Wacława.* „DOBOSZ WOLTYŻERÓW". Powieść historyczna z epoki napoleońskiej, z rycinami A. Gawińskiego, w barwnej oprawie, str. 172, zł. 5.—, w opr. 6.50.

„Dobosz Woltyżerów" jest pierwszą i jedyną powieścią W. Gąsiorowskiego, napisaną specjalnie dla młodzieży. Tematem powieści sąd zieje młodego chłopca, Jacka Lubicz - Januszkiewicza, wzięte z prawdziwego zdarzenia. Ojciec Jacka oficer 7-go pułku Legji Nadwiślańskiej poległ w dalekiej Hiszpanji śmiercią walecznych. Jacek, chcąc ratować rodzinę, pogrążoną wn ędzy, ucieka z domu do wojska polskiego, które przez Litwę maszeruje na Moskwę wraz z Napoleonem (w r. 1812). Po licznych i ciekawych przygodach wd rodze, Jacek trafia na popas pod Tykocinem, szczęśliwym przypadkiem dostaje się do pułku woltyżerów, gdzie zrobiono go doboszem. Wielka armja francuska wraz z Polakami maszeruje pod Smoleńsk. Jacek wyróżnia się w marszu i na przeglądach wojskowych dzielną postawą i wytrwaniem. Przy zdobyciu Smoleńska pułk moltyżerów pierwszy dostaje się do twierdzy, ze swym doboszem na czele, który, mimo ciężkiej rany, trzyma się brawurowo. Napoleon objeżdża pole bitwy, znajduje małego, rannego dobosza, każe przybocznemu lekarzowi zaopiekować się rannym, następnie odwiedza go w szpitalu, dekoruje krzyżem i mianuje porucznikiem (fakt historyczny). Powrót dzielnego dobosza do domu jest pełen radości i na tem kończy się powieść.

Jak wszystkie powieści W. Gąsiorowskiego, „Dobosz Woltyżerów" ma ogromnie interesującą akcję, wiele ciekawych postaci epizodycznych, dużo humoru, a przytem tło historyczne podmalowane jest ciekawie i wiernie. Książka wydana jest nadzwyczaj starannie, ozdobiona świetnemi rycinami A. Gawińskiego, w wykonaniu rotograwiurowem, będzie cennym upominkiem gwiazdkowym i dobra lektura dla dzieci od lat 10-ciu.

## ZAJMUJĄCE CZYTANKI DLA DZIECI.

Księgarnia M. Arcta w Warszawie wydaje od paru lat serje zajmujących czytanek dla dzieci. Ostatnie dwie serje (od Nr. 51 do 68) — są to czytanki wyłącznie autorów polskich, ukazujące się w artystycznej, kolorowej okładce, w odstępach tygodniowych. Jest to naprawdę zajmująca i pożyteczna lektura dla dzieci w wieku od 8 — 12 lat, a przytem stosunkowo bardzo niedroga, jeżeli się zwłaszcza uwzględni współpracę cenionych autorów, którzy w tym wypadku kierują się prędzej ideą, niż prawdopodobieństwem popłatności honorarjów.

Jako pierwsza z serji III-ciej, ukazała się czytanka Nr. 63 p. t. „Błękitny żagiel", pióra znanego naszym Czytelnikom autora Jerzego Marjusza Taylora. Na dwóch i pół arkuszach zwartego druku, autor snuje przygody dzielnego kapitańskiego synka - Stefana i wyratowanej przezeń tonącej dziewczynki. W opowieści tej, pełnej dramatycznych epizodów, poznajemy niecodzienne zalety bohaterskiego chłopca, skromnego i wzruszającego w swej szlachetności, który bez namysłu naraża życie dla ratowania bliźnich, uważając to za swój prosty obowiązek. Również rodzice chłopca i mała bohaterka opowieści — Wanda, obdarzeni są sympatycznemi rysami charakteru, któremi ujmują czytelnika. Począwszy od pociągającego tytułu, piękna i żywa treść tej powiastki przykuwa uwagę aż do pogodnego końca, a barwny i wyrobiony styl autora sprawia, że czyta się ją z prawdziwą przyjemnością. Obok książeczek M. Buyno-Arctowej — p. t. Syn policjanta (Nr. 53), Wł. Juszkiewicza — Żółty przyjaciel (Nr. 57) i Z. Jastrzębskiego — Powietrzny szlak — jest to jedna z najlepszych z pośród nadesłanych nam do recenzji czytanek.

## CZARODZIEJSKIE OPOWIEŚCI DLA DZIECI.

Zawdzięczać należy ruchliwej księgarni Hoesicka, że mimo przeżywanego kryzysu, nie wahała się zaznajomić polskich czytelników ze znakomitym rumuńskim pisarzem Jonem Creanga, przygotowując na gwiazdkę prześlicznie wydany zbiór *Czarodziejskich opowieści* w artystycznem opracowaniu znanej autorki i tłomaczki Konstancji Majzlówny (Kaemy). Dzieci z zapartym tchem wczytywać się będą w te iskrzące się dowcipem i fantazją baśnie — dorosłych zachwyci prostota opowiadania, kopalnie folklorystycznych bogactw, oraz oryginalny, pełen tężyzny talent zapewne u nas nieznanego rumuńskiego autora.

## ŁOWCY PRZYGÓD.

Oto książka sensacyjna! Sensacja jej kryje się w samem przedsięwzięciu pisarskiem: autor, znakomity tłumacz powieści Curwooda, przedzierzgnął się w pisarza amerykańskiego. Jest nim z pomysłu, z treści i stylu. Jest doń podobny jak dwie krople wody z całego ustosunkowania się do swych bohaterów. Jest naprawdę Curwoodem polskim. To wejście „na ścieżkę" pisarską znakomitego Amerykanina wypływa nie z ambicji, aby mu dorównać, nie z przejęcia się jego utworami, lecz z potrzeby. Z potrzeby? Nieinaczej. Curwood napisał dwie powieści, mające między sobą ścisłą łączność: jedna z nich to „Łowcy wilków", a druga — „Łowcy złota". Wskutek przedwczesnej śmierci nie dokończył historji o głównych bohaterach ku wielkiemu strapieniu czytelników. Tę lukę wypełnił właśnie teraz Jerzy Marlicz. Genezę jej zreszta mamy w dowcipnej przedmowie do jego utworu.

Zalety „Łowców przygód" są takie same, jak poprzednich powieści o „Łowcach", z którymi książka Marlicza stanowi trylogję. Znajdujemy tu mile skreślone sylwetki młodych bohaterów i grozę niebezpieczeństw od dzikich zwierząt, i obraz walk między mieszkańcami puszczy, i co najważniejsza węzeł dramatyczny, który cierpliwa ręka autora rozsnuwa zwolna, lecz pewnie. Ułożona jest przytem tak zręcznie, że można ją czytać całkiem niezależnie od poprzednich, pióra Curwooda.

„Łowcy przygód" przy wybitnych zaletach fabuły nadają się dla wszystkich i ukazują się wporę przed gwiazdką.

## MISS I MURZYN

Nakładem „Roju" ukazała się zajmująca powieść znanego naszym czytelnikom autora Mieczysława Jarosławskiego p. t. „Miss i murzyn". Recenzja w następnym numerze.

*L. P.*

## SERDECZNA POETKA

*S. Raciążkówna: „Chińska Akwarela". Warszawa, Nakładem Księgarni F. Hoesicka.*

W każdym obrazku życia, w każdej bajce, serdecznie wymarzonej w oczach, jest Raciążkówna S. poetką prawdziwą, sięgającą do dusz subtelnych i refleksyj uczuciowych. W jej wierszach niema katastrof, błyskawic i gromów, huczących nad światem, jest zato prosta, i piękna w swej szczerości rozmowa serca z tem, co ono sobie ukochało i śpiewną nutą tylko powtórzyło. Taką rozmową z serca do serca jest dla nas tomik poezyj tej autorki p. t. „Chińska akwarela".

Melodyjny liryzm zamyka tu kunsztownie do kilku zwrotek skrócony wymiar czasu, przestrzeni, zdarzeń i rozpiętość wypadków. W takiej minjaturze widzi np. poetka obraz własnej matki...

Zdjęłabym z Ciebie te suknie,
Brokaty cne i gniotące,
Tylkobym Ci zostawiła
Róże, na piersiach więdnące.

Nawet wtedy gdy poetka mówi o Amundsenie, Byronie czy małej gejszy Yen, z tematu rozległego wybiera dla ludzi cząstkę małą, skromną ale żywą i niczem niezakłamaną, bo ją doskonale sprawdzić musiała przedtem swem istotnem odczuciem. — „Do nas, do mnie, do ciebie zima się przybliża. Do matki Amundsena — Wysoki Cień Krzyża". A kiedy rozmawia z Yen o mandarynie Tsang, rozumie w ten sposób jej ból i bezsiłę: — „Pamiętaj Yen, twarzyczki nie zasłaniać, — pamiętaj Yen, niczego mu nie wzbraniać, — w tańcu się giąć i śpiewać mu piosenki, — — — — gdy przyjdzie noc, noc niepojętej męki". Są i wiersze, poświęcone „Tobie", — miłosne.

A gdy odejdę, gdzie poniosą oczy,
Nie będziesz czepiać się moich nóg,
Będziesz miłował, to, co ja miłuję:
Czar niecierpliwy dalekich dróg.

Utalentowanej poetce życzyćby można jednego, aby jej tomiki wierszy zyskiwały coraz to nowych—czytelników. Napewno nie jedna—z czytelniczek „Ech Leśnych" zechce w tem ubiec rodzaj męski. A zdarza się odpowiednia chwila i można to jakoś — — wspólnie połączyć z podarunkiem na gwiazdkę.

*J. S.*



*S. Raciążkówna*

# ZE ŚWIATA

## NOWY ROBINSON

Francuski parowiec towarowy „Tolosa", który niedawno był zmuszony zatrzymać się z powodu braku wody na bezludnej wyspie Rinca, jednej z licznych wysp, rozsianych u południowo-zachodnich wybrzeży Chile, donosi o odkryciu tam nowego Robinsona.

Gdy marynarze, wysłani z „Tolosy" po wodę, podeszli do źródła, znajdującego się na wyspie, znaleźli przy niem człowieka, odzianego w skóry, z którym jednak nie mogli się rozmówić, gdyż nie rozumiał żadnego z języków, jakiemi do niego przemawiano. Marynarze z „Tolosy" przypuszczają również, że rozbitek ten tak dawno już przebywa na bezludnej wyspie, iż zapomniał mówić.

Po nabraniu wody, marynarze chcieli zabrać z sobą odludka, ale nowy Robinson, czyniący wrażenie człowieka zupełnie zdziczałego coprędzej uciekł i ukrył się w zaroślach. Parowiec więc odpłynął bez niego.

## JAK ODKRYTO SACHARYNĘ

Słynny chemik niemiecki Falberg, poczuł pewnego dnia, pracując w swem laboratorjum, taki głód, że posłał woźnego po chleb z masłem, gdy zaś woźny spełnił to żądanie, Falberg pochwycił przyniesiony chleb, zapomniawszy nawet o umyciu sobie przedtem rąk, i zaczął go spożywać chciwie.

Nagle jednak uczuł w ustach nadzwyczajną słodycz. To go zastanowiło. Poddał więc i chleb przyniesiony i masło skrupulatnemu badaniu, nic jednak nie mógł w nich odkryć, prócz zwykłych składników. Wówczas zaczął badać przetwory chemiczne, któremi manipulował prze dspożyciem chleba i wreszcie natrafił na proszek biały, otrzymany z toluolu, smoły, będącej produktem destylacji węgla. Ten to właśnie proszek posiadał ów smak nadzwyczaj słodki, który uderzył Falberga.

W ten sposób odkryto sacharynę.

## ZACIĘTA WALKA Z WILKAMI

Dwaj młodzi Anglicy, Mannig i Gray, odbywający obecnie podróż po Laponji, wylądowawszy niedawno w porcie norweskim Bodo, powędrowali przez góry do wioski lapońskiej Kvidzjock, położonej w najbardziej na północ wysuniętej części Szwecji i już znajdowali się niedaleko tej wioski, gdyc no zapadła.

Postanowili więc, jak zwykle, przenocować pod gołem niebem, po spożyciu więc wieczerzy, ułożyli się do spoczynku w swych workach do spania.

Zaledwie jednak upłynęła godzina, gdy obudziło ich wycie wilków, a wychyliwszy głowy z worków, spostrzegli przerażeni, przy świetle dogorywającego ogniska, że są otoczeni przez stado tych drapieżników. Na ten widok, Manning, nie tracąc przytomności, dobył rewolweru i zaczął strzelać do bestji. Dwa wilki padły, a reszta cofnęła się, co pozwoliło podóżnym wydobyć się z worków i stanąć w postawie obronnej.

Po chwili jednak wilki znów natarły na podróżników tak gwałtownie, że wywiązała się walka zacięta, która zakończyła się dopiero wówczas, gdy napadnięci powalili wystrzałami z rewolwe-



*Jezioro w parku miejskim w Budapeszcie*

rów 15 wilków, a reszta przerzedzonego w ten sposób stada uciekła.

Mocno wycieńczeni i poranieni przez wilki, podróżni dotarli o świcie do wioski lapońskiej, gdzie ich opatrzono.

## SZPITAL KATOLICKI NA PUSTYNI ARABSKIEJ.

Z Jerozolimy donoszą o rozpoczęciu budowy w mieście Kerak, na pustyni Transjordańskiej, wielkiego szpitala dla Beduinów miejscowych. Szpital ten stanie dzięki włoskiemu stowarzyszeniu misji zagranicznych i ma być oddany włoskim zakonnicom, t. zw. Siostrom Maria Bambina z Medjolanu.

Miasto Kerak w zamierzchłej przeszłości nosiło nazwę Petra Deserti i było siedzibą arcybiskupa łacińskiego. Forteca, odbudowana za czasów wypraw krzyżowych, była miejscem rezydencji słynnego Renault de Chatillon, zabitego przez Saladyna.

Dziś miasto Kerak liczy 7.000 mieszkańców, w tem przeszło 300 katolików.



*Nauka łacińskiego alfabetu w Turcji*

## ODKRYCIE DROGI STARORZYMSKIEJ W LONDYNIE

Na miejscu, gdzie wznosi się obecnie stolica Anglji, powstało, po zdobyciu



*Zaślubiny nieletnich w Indjach*

Brytanji przez Juljusza Cezara, miasto rzymskie, którego szczątki znajdywane są obecnie często prz ybudowie domów, kanałów lub tuneli londyńskich.

W tych dniach, przy rozkopywaniu gruntu, na którym wznosił się zburzony świeżo wielki gmach przy Lime Street, natrafiono, na głębokości 16 stóp, na dobrze zachowane szczątki wielkiej drogi rzymskiej, szerokości 30 stóp, wiodącej w stronę Tamizy.

Warstwy żwiru, pokrywające tę drogę, sięgają ośmiu stóp grubości, co świadczy, że droga była używana bez przerwy przynajmniej przez trzy stulecia i wiodła zapewne do mostu na Tamizie.

Pod warstwami najniższemi żwiru znaleziono liczne szczątki rzymskich naczyń glinianych. Niektóre z nich pochodziły z okresu cezarów Klaudjusza i Nerona (około 45—65 r. ery naszej).



*Aleja Imperjum w Rzymie*

# ZE ŚWIATA

*Pomnik zwycięstwa nad Marną, dar Stanów Zjednoczonych dla Francji.*

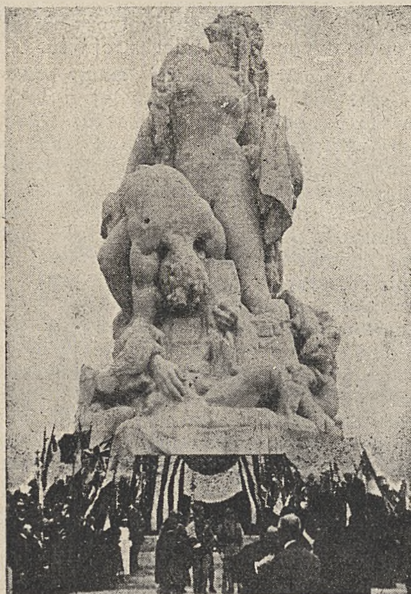
*Kary w Chinach są wymierzane doraźnie...*

*Nasza rodaczka Curie - Skłodowska przyjmuje hołd od Amerykanów.*

*Tkaczka na Bali, jednej z wysp na morzach południowych.*

*Dwuminutowa cisza w rocznicę zawieszenia broni w Londynie.*

*Nowoczesne budownictwo w Niemczech. Okrągła dzielnica w Hamburgu.*

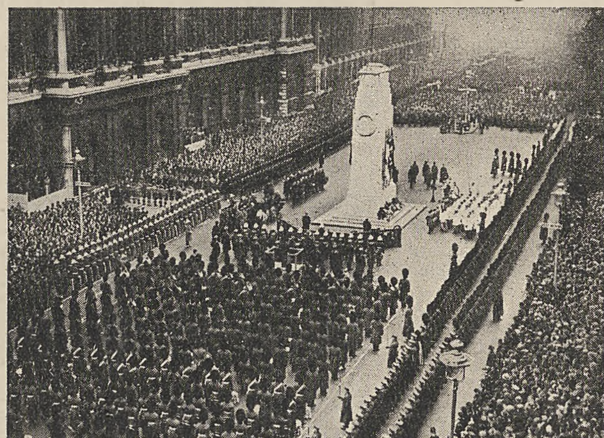


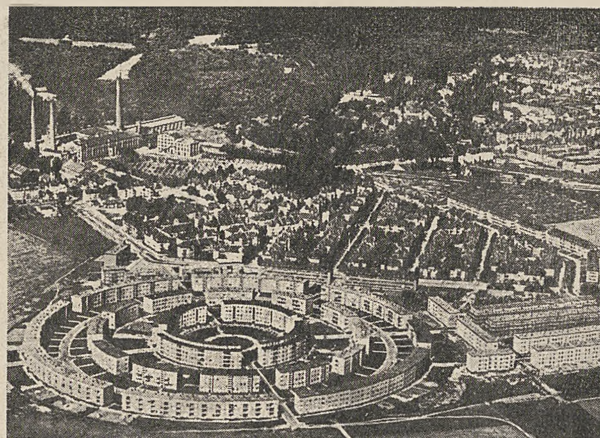












# COŚ DLA PAŃ

PODOBAĆ SIĘ...

Parę lat temu, kiedy nosiłyśmy króciutkie sukienki i odsłaniałyśmy ładne, częściej jednak niekształtne (niestety!) kolanka, ktoś dowcipny użył dosadnego wyrażenia na gwałtowną chęć starszych pań, aby wydawać się młodziutkiemi panienkami; określenie to brzmiało: „z tyłu... liceum, z przodu... muzeum!" co miało oznaczać, że kiedy spojrzało się na taką osobę, która pokazywała nóżki aż po kolanka, niby uczenica liceum, znajdowało się twarz, nadającą się raczej już tylko do... muzeum! Mimo jednak tej złośliwości (napewno popełnił ją jakiś mężczyzna!) chcemy nadal wszystkie być młode, ciągle młode, jak najmłodsze! I chcemy być piękne, aby się temu szkaradnikowi złośliwemu, mimo wszystko, podobać! Nie jadamy ciastek, nie opychamy się jedzeniem, aby zachować smukłą linję ciała, torturujemy się na wszelaki sposób, aby tylko zwrócił na nas uwagę, on, oś naszego życia, on — treść każdego marzenia panny, mężatki, rozwódki, czy wdowy! Nic nie pomoże, choćbyśmy się tego zapierały, postępowanie nasze mówi za nas. Od rana już obmyślamy strój, któryby „*go* ujarzmił", „robimy" sobie twarz, aby *go* oczarować. Biegniemy do gabinetu kosmetycznego, aby usunąć defekty skóry, a nadewszystko zmarszczyki, te straszne zwiastuny zbliżającej się starości. Namnożyło się tych gabinetów kosmetycznych mnóstwo w Warszawie, ba! powstaje ich coraz więcej i na prowincji, gdzie może jeszcze wprowadzanie w czyn gorącej chęci, aby jak najdłużej utrzymać młodość i urodę, nie stało się tak nagminne, jak w stolicy. Jedna, druga z pań, póki cerę ma świeżą, póki okropne „kurze łapki" nie szpecą buzi, wzrusza ramionami, nie wierząc w skuteczność zabiegów. Inne natomiast, te, które zawczasu pielęgnują skórę twarzy, są namiętnemi zwolenniczkami racjonalnych zabiegów, wiedząc, jak dobroczynnie wpływają na utrzymanie młodości i urody. To też dobrze poprowadzony gabinet kosmetyczno-lekarski na brak pacjentek nie może się uskarżać. Oto naprzykład ostatnio b. r. odbyło się w Warszawie, przy ul. Marszałkowskiej 94, poświęcenie filji jednego z najlepiej prowadzonych takich gabinetów kosmetyczno-lekarskich „Izis", który, założony przed pięciu zaledwie laty, dzisiaj stał się poważną placówką w tej dziedzinie, osiągając, dzięki stosowaniu przez naczelnego lekarza, najnowszych aparatów i ulepszeń z zakresu skórolecznictwa, wspaniałe wyniki. Najskuteczniejszym zabiegiem przeciwko zmarszczkom jest masaż, umiejętnie stosowany na skórę, odpowiednio zmiękczoną i przygotowaną. A do tego przeróżne naświetlania, vapofory, vaporosy, faradyzacje, madiofory i jak się tam jeszcze owe przyrządy nazywają, maski, zwężające pory, działające na pobudzenie obiegu krwi, słowem cały obrządek, trwający nieraz do 3 godzin po to, abyśmy albo znowu stały się piękne, albo utrzymały jak najdłużej młodość i urodę, daną nam przez naturę. *St. O.*

KILKA SŁÓW O MODZIE

Zmienna i piękna kokietka, pani Moda, niespodziewanie bardzo spoważniała. Nie uznaje jasnych toalet. Krzywi się na jedwabie. Zaledwie kiedy niekiedy spojrzy, jak z łaski na lśniące meteory, zorżety, chiffon'y. Zasadniczo są one skazane na bezapelacyjną banicję i nawet sezon karnawałowy nie zhieni ich położenia. Będą tolerowane jedynie w zastosowaniu do sukien wyłącznie balowych, bardzo strojnych, bardzo niecodziennych. Ma zato podobno zjawić się nowość w postaci toalet wieczorowych, a nawet i balowych skromniejszych z mięciutkiej, pięknej wełny, opadającej wzdłuż wysmukłej sylwetki. Ano, więc zobaczymy. Narazie są to wszystko pogłoski.

Zato zupełnie pewne i trwałe powodzenie zdobył aksamit, z którego firmy paryskie tworzą prześliczne kreacje w dziedzinie modeli poobiednich i wizytowych. Aksamit służy również jako przybranie, np. szarfy i kokardy z aksamitu lub pasy opadające aż ku dołowi sukni, ożywiają, jeszcze mimo wszystko noszone, sukienki z jedwabiu.

W królestwie barw pierwszeństwo zdobyła czerń, zwłaszcza w połączeniu z kolorem białym, choć dopuszczalne są urozmaicenia w postaci szarf, pasów, wo-



lantów i t. p. w odcieniach żywych, odbijających jaskrawo od całości. Najczęściej jednak będziemy spotykały czerń połączoną z bielą, co podług mnie pozostanie zawsze najbardziej twarzowe i eleganckie. Sekret noszenia tej samej sukni z rękawami lub bez, jest już nam znany oddawna, pamiętajmy więc tylko, że rękawy muszą być obecnie bufiaste, na tem podobno polega cały efekt. Kilka form najbardziej spotykanych rękawów podałam na ilustracji.

Poza przodującym kolorem czarnym modne są również wszelkie odcienie barw ciemnych, a więc fiolet, bronz, wiśniowy.

Długość sukien również uległa zmianie. Modele przedpołudniowe są nieco dłuższe, wieczorowe — naodwrót krótsze. Żadnych trenów, żadnych fałd powłóczystych. Strój wieczorowy, czy nawet balowy powinien odsłaniać przynajmniej część pantofelków.

Linja sylwetki pozostaje zasadniczo ta sama. Obcisła w biodrach, rozszerza się w samym dole przy pomocy wstawionych plis, godetów i wciąż uparcie trzymających się kloszów, którym niedawno przepowiadano rychły zmierzch. Wciąż jednak widzimy, że klosze nie ustępują z placu, choć się stanowczo trochę „opatrzyły". Paski węższe i szersze są naogół noszone, lecz niekoniecznie obowiązujące, spotyka się modele o bardzo wysokim stanie, z talją zaznaczoną wyraźnie, o spódnicy ułożonej w zgrabne draperje. Ten rodzaj kroju tyczy się oczywiście wyłącznie toalet strojnych.

Na ilustracji naszej mamy fasonik eleganckiej sukienki, uszytej z bronzowego eksamitu. Kamizelka bez rękawów zw zorzystego jedwabiu oraz takie same naszycia na rękawach obcisłego, krótkiego żakiecika, dopełniają efektownej całości. Kamizelka ta może być albo wkładana oddzielnie, albo też stanowić całość ze spódniczką z żakietem lub jeśli rozporządzamy większą ilością materjału, wykonać z aksamitu całą suknię bez rękawów, na którą wkładałybyśmy kamizelkę i wreszcie żakiecik. Tylko... czy nam w tem wszystkiem nie będzie za gorąco, tem bardziej, że toaleta ta bez żakietu straciłaby właściwy efekt? Lepiej więc sprawić sobie jedynie spódniczkę z kamizelką i żakiet, wystarczy to najzupełniej.

Drugi model przedstawia spódniczkę z fiołkowej wełny. Przód posiada wszyte, częściowo zastenbnowane plisy oraz u góry podłużną wstawkę, wykonaną z wełny o odcieniu jaśniejszym. Tej samej, jaśniejszej barwy jest dół rękawów od łokcia do dłoni. Krawacik z kremowej gipiury.

No i nakoniec — miła, prosta sukienka domowa z kraciastej wełenki. Mankiety, pasek, część kieszeni i kołnierzyka są uszyte z wełny jednolitej, dopasowanej barwą do całości. Krój równy, przechodzący z przodu w szeroką plisę. Paniom zamierzającym powiększyć swą garderobę polecam tę sukienkę. Jest wyjątkowo „twarzowa".

*N. Okuszko - Effenbergerowa*







*W 84 p. p. odbyła się uroczystość sadzenia drzewek, przy udziale dowódcy, płk. Zawiślaka.*

# Z MIESIĄCA

*Przegląd ważniejszych wydarzeń*

## W STOLICY I W KRAJU.

— Przedświąteczny okres prac sejmu zakończył się. Posłowie rozjechali się na ferje świąteczne. Jak wiadomo po zwołaniu sesja sejmowa została odroczona na 30 dni. Z tego powodu stronnictwo narodowe zgłosiło wniosek nagły o naruszeniu konstytucji, ponieważ dekrety rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej) nie zostały sejmowi przedłożone w 14 dni po zwołaniu sesji, lecz w 30 dni, a zatem — zdaniem klubu narodowego — utraciły moc obowiązującą. Nagłość wniosku została odrzucona głosami klubu B.B. i wniosek, jako zwyczajny powędrował do komisji konstytucyjnej.

— Przedłożony sejmowi budżet zamyka się po stronie dochodów kwotą 2.088.999.150 zł., po stronie wydatków zaś 2.449.897.181, czyli jest deficytowy. O ile nie dopiszą dochody, co wobec coraz bardziej pogarszającego się stanu gospodarczego, szczególnie w podstawowem dla Polski rolnictwie, jest bardzo prawdopodobne, deficyt ten byłby jeszcze większy.

— Długoletni Minister Spraw Zagranicznych p. August Zaleski, ustąpił. Jego miejsce zajął dotychczasowy wiceminister p. płk. Beck.

Opinja francuska, której zaufaniem cieszył się Minister Zaleski, została tą zmianą zaskoczona. Prasa niemiecka wyraża przekonanie, że mimo zmiany na stanowisku ministra, kurs polityki zagranicznej Polski nie ulegnie zasadniczym zmianom, ponieważ zarówno p. Zaleski, jak i p. Beck, byli bliskimi i zaufanymi współpracownikami p. marszałka Piłsudskiego.

— Pan Prezydent Rzeczypospolitej ratyfikował pakt o nieagresji z Sowietami, podpisany w Moskwie, dnia 25 lipca b. r.

— We Lwowie miały miejsce pożałowania godne zajścia. Z powodu napaści dokonanej przez męty uliczne, pochodzenia żydowskiego, na osobie studenta weterynarji, ś. p. Grotkowskiego, który wskutek zadanych mu obrażeń zmarł, młodzież akademicka poczęła gwałtownie występować przeciw ludności żydowskiej. Skorzystały z tej okazji elementy wywrotowe, dopuszczając się na rachunek młodzieży akademickiej gwałtów na żydach. Wskutek energicznej interwencji władz akademickich i państwowych spokój został przywrócony. W stolicy ekscesy ograniczyły się do demonstracji i wybijania szyb, przyczem „męty i wywrotowcy" też, acz nieproszeni, pomagali. Klub narodowy zgłosił w sejmie interpelację na tle tych zajść, oskarżając władze i policję o niewłaściwe zachowanie się. Mianowicie podczas śpiewania przez spokojnie zachowującą się ludność hymnu „Boże coś Polskę", miano podobno zlewać śpiewających wodą i rozpędzać pałkami.

— Między Polską a senatem Gdańskim wynikł zatarg z powodu wprowadzenia na kolejach na terenie Gdańska opłat w złotych polskich. Zatarg został pomyślnie zlikwidowany i sprawa polsko-gdańskiego porozumienia jest na dobrej drodze.

— W Warszawie wydarzyła się straszna katastrofa. W trzypiętrowym budynku, służącym browarom Haberbusch i Schiele za skład jęczmienia, runęła szczytowa ściana, miażdżąc masami gruzu i jęczmienia parterowy domek drewniany z facjatkami. W katastrofie tej straciło życie 21 mieszkańców domku. Mimo drobiazgowego śledztwa i wysłuchania rzeczoznawców, władze niczyjej wyraźnej winy nie stwierdziły. Dowodem katastrofy był prawdopodobnie napór na ścianę nierównomiernie rozłożonego jęczmienia.

— Na tegorocznym zjeździe legjonistów przemawiał prezes klubu B.B. p. poseł Sławek. Oświadczył on, że obóz legjonowy musi dążyć do związania ze swą ideologją lepszych elementów w Polsce, nie zamierza się natomiast sprawować rządów drogą dyktatury, czy terroru.

— Proces brzeski rozpocznie się przed sądem apelacyjnym w Warszawie w dniu 7 lutego b. r.

## DŁUGI AMERYCE.

Z powodu zapadłości grudniowej raty należnej Ameryce od państw europejskich, państwa te, w tej liczbie również Francja i Polska zwróciły się do Ameryki o odroczenie spłat. Odpowiedź Ameryki była odmowna. Wobec tego państwa europejskie podzieliły się na dwie grupy. Anglja i Włochy zapłacą, pozostałe zaś państwa prawdopodobnie nie zapłacą. We Francji zapanowało ogromne oburzenie z powodu stanowiska Ameryki. Parlament francuski wbrew propozycjom rządu Herriota uchwalił nie płacić raty grudniowej, przez co radykalny rząd Herriota został obalony przez samych radykałów.

Polska wystosowała do Ameryki powtórnie notę, z prośbą o odroczenie zapłaty raty, ze względu na zły stan gospodarczy Państwa.

W stanowisku Ameryki ujawnia się raz jeszcze przysłowiowa krótkowzroczność polityków amerykańskich.

## FRANCJA.

Na premjera francuskiego Herriota usiłowano dokonać zamachu przez wysadzenie toru kolejowego na krótko przed przejazdem pociągu pospiesznego do Nantes, którym miał jechać Herriot i kilka innych osobistości oficjalnych. Strażnik kolejowy zapobiegł katastrofie, powodując zatrzymanie pociągu na pobliskiej stacji.

Początkowo nici zamachu próbowano szukać w Niemczech, wyjaśniło się jednak, że zamachu dokonali autonomiści bretońscy. Miała to być — zdaniem sprawców — raczej demonstracja antyfrancuska, aniżeli zamach na życie Herriota.

Plan rozbrojeniowy Herriota spotkał się z wyraźnie nieżyczliwem przyjęciem zarówno przez prasę niemiecką, jak i angielską, oraz włoską. Włochy zarzucają Francji, że jej militarystyczne stanowisko jest powodem nieprzejednanego stanowiska Ameryki wobec Europy.

## NIEMCY.

Nowe wybory do parlamentu Rzeszy nie dały wyraźnego oblicza dzisiejszym Niemcom. Głosów oddano 35.409.718. Z tego otrzymali: hitlerowcy — 11.712.983 (mandatów 195); socjaldemokraci — 7.233.544 (mand. 121); komuniści — 5.972.702 (mand. 100); centrum — 4.228.364 (m. 70); niemicko-narodowi 2.951.839 (m. 49); bawarska partja ludowa — 1.080.124 (m. 18); ludowcy — 695.931 (mand. 11); partja państwowa — 326.805 (mand. 5); chrześcijańsko-socjalni — 402.803 (mand. 6); partja gospodarcza — 110.831 (mandat 1); Landvolk — 164.842 (mand. 2). —

Po upadku rządu von Papena, kanclerzem Rzeszy został gen. Schleicher.

Rząd ten został przyjęty przez stronnictwa stosunkowo dość życzliwie. Prasa demokratyczna nie entuzjazmuje się co prawda, jednak uważa rząd Schleichera za mniejsze zło od rządu v. Pappena, hitlerowcy udzielają mu zaś wręcz cichego poparcia.

Hitlerowcy utracili w wyborach komunalnych w Turyngji, około 50% głosów. Wpłynęło to prawdopodobnie na nich otrzeźwiająco i dało przestrogę, że w razie jeśli dojdzie do ponownych wy-

borów mogą w nich ponieść klęskę. Wpłynęło to niezawodnie na stanowisko hitlerowców wobec rządu Schleichera.

Pierwsza mowa kanclerza Schleichera odsłoniła program rządu niemieckiego i była w swej treści nader sprytnem ugłaskaniem przeciwników. Kanclerz-jenerał zapewniał o swej bezpartyjności. Uspakajał na prawo i na lewo socjal demokratów i związki zawodowe, zapewniał, że głównym i jedynym punktem programu rządowego jest kwestja dostarczenia pracy bezroboczym, agrarjuszów zapewniał, iż jednocześnie rząd przyjdzie z pomocą zarówno zagrożonym gospodarstwom ziemiańskim, jak i włościańskim. W ramach akcji pomocy dla bezrobotnych przewidziana jest również akcja kolonizacyjna na wielką skalę, na którą przeznaczono na rok przyszły 33 miljony. Będzie to akcja na wzór kolonizacji Fryderyka Wielkiego. Największa część ziemi oddana będzie na ten cel Prusom Wschodnim, bo 800 tys. morgów dla stworzenia „wału ochronnego" przeciwko ewentualnemu naporowi „intruzów" (aluzja do Polski). Przechodząc do polityki zagranicznej kanclerz wyraża się z uznaniem o decyzji genewskiej, którą nazwał wielkim krokiem naprzód, potwierdził gotowość Niemiec do rozbrojenia, jeżeli uczynią to inne państwa. W polityce zagranicznej rząd Rzeszy będzie dalej nieugięcie kroczył tak wytkniętą drogą, lecz nie zamierza porywać się na politykę eksperymentów lub awanturnicze kombinacje. Kanclerz podkreślił gotowość rządu do współpracy z innemi państwami o ile skłonne one będą szukać rozwiązania międzynarodowych problemów. Istotnie, na terenie genewskim, udało się Niemcom przeprowadzić postulaty dotyczące równouprawnienia w dziedzinie z brojeń.



*Generał Schleicher, nowy kanclerz Niemiec*

Niemcy są zaniepokojone zbliżeniem czecho-słowacko-polskim. Ponieważ apetyty Niemiec wzrastają niewspółmiernie szybciej, niż ich sukcesy i niepokoją się, Czechosłowacja może zająć nieprzychylne dla nich stanowisko w razie wytoczenia sprawy Górnego Śląska (sic!) i korytarza).

Nadprezydent prowincji wschodniopruskiej zawiesił na tydzień „Gazetę Olsztyńską" za rzekome „obelgi i złośliwe podważanie autorytetu władz".

GENEWA.

W Genewie wydarzyły się krwawe rozruchy wywołane przez komunistów. Policja i wojsko rozruchy stłumiła. Również w Zurichu, Lozannie i Bazylei doszło do drobnych utarczek. Dokonano szeregu aresztowań. Na znak protestu robotnicy proklamowali 24-godzinny strajk protestacyjny; przebieg strajku był stosunkowo spokojny; rozruchom przeszkodziły skonsygnowane bataljony wojska.

SOWIETY.

Winnych katastrofy kolejowej pod Lublino (koło Moskwy) skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Rząd sowiecki nie odpowiedział na propozycje Anglji zawarcia nowej umowy handlowej po wypowiedzeniu przez Anglję dawnej. W skazywało to, że rząd sowiecki w podjęciu stosunków handlowych z Anglją nie jest zainteresowany.

Stosunki niemiecko-sowieckie psują się. Powód do tego dały rewelacje „rzekomo nieprawdziwe" Krentz Zaitung, o posiedzeniu moskiewskiego politbiura w sprawie akcji komunistycznej w Niemczech. Moskiewska „Prawda" oświetla niemieckie rewelacje, jako wstęp do uznania komunistycznej partji Niemiec za nielegalną i rozpoczęcia represyj.

*Esbe*

*KAZIMIERZ TRUCHANOWSKI*

# *ZŁY LOS*

— Oszwabił!... Bodaj cię parszywcu...

— Mateusz zaklął siarczyście i garść zmiętych, zatłuszczonych papierów schował za pazuchę, potem splunął, podrapał się w skołtunioną czuprynę i ociężałym, chwiejnym krokiem powlókł się do karczmy.

Był już przy drzwiach starej rudery, gdy raptem usłyszał dudnienie nóg końskich po uginającej się skorupie tężejącego błota. Szyderczo uśmiechnięta gęba handlarza końskiego, który przed chwilą kupił u Mateusza ostatniego z jego gospodarki konia, mignęła w prezlocie i szybko zapadła w ruchliwem mrowisku ludzkich głów. Koń na pożegnanie zdala zarżał żałośnie.

— Bodajżeś korzyści nie miał, ty niewiaro....

W karczmie panował zaduch ogromny. Pomięszane odory kożuchów, wódki, śledzi, tytoniu i potu dławiły ckliwym zapachem. Przy stołach siedzieli rozparci chłopi, i baby, a twarze ich były czerwone. Nie wiadomo, czy wódka ich tak podniecała, czy zarobiony grosz, czy też spory i sprzeczki, jakie zwykle załatwiano na jarmarkach. Jarmark był najlepszym sądem; sprawy zwykle załatwiano doraźnie.

Szynkrz kręcił się po ogromnej szynkowni, przymyilnie podsuwał nowe kwaterki, dobrotliwie się uśmiechał, gdy padła jakaś wesoła dykteryjka, gładził z zadowoleniem długą siwą brodę i suchemi palcami, jakby szponami drapieżnego ptaka, zgarniał do kieszeni pomięte, brudne papierki, srebrne i miedziane okrągłe monety.

— O, widzita!... Matejasz głupi też przyszedł na kwaterkę.

Przy jednym ze stołów na widok biednego Mateusza, jak raca wybuchł gwałtowny śmiech i umilkł natychmiast, gdy pokraczna jego figura znikła w mrowisku ludzkiem.

— Matejasz! Siła utargowałeś?

— Starczy!

— Na wódkę... — ktoś podchwycił drwiąco.

— A orać to czem będziesz?

— Dziecisków kupa jest i baba krzepka, znów dodał czyjś drwiący głos.

— Mówisz — na wódkę stanie?

— Uhm!... — odmruknął.

— To poczęstuj!

Mateusz próbował odburkiwać się, lecz czynił to bardzo niezgrabnie, lękliwie.

— Cie zapowietrzony... Daj wódki, ubijem interes.

— Ale?

I natręt, pragnący wyzyskać biednego, podsuwał się bliżej, niby to chciał się podzielić z nim dobrą nowiną, zasiadał na pustym zydlu, poklepywał Mateusza po ramieniu i na chybił trafił bajał o złotych górach, bacząc tylko, by dyplomacja przed osuszeniem umówionych kwaterek nie skończyła się.

— No, gadaj! jaki interes?

— I Głupi! A to myślisz, że za tyla wódki powiem?

— ?...

Głupi Matejasz, głupi... Ha, ha ha! — pijany kompan śmiał się drwiąco podchodząc do zgraji roześmianych, jak i on pijanych chłopów.

— Dzieciskom chleba trza... — mówił do siebie Mateusz i gorzkie łzy kręciły mu się w oczach — głupi powiadają!? A no!...

Jednakże nie był Mateusz taki głupi, za jakiego go powszechnie uważano. O, nie. Tylko ot tak go zły los opanował, igrał nim, jakby przedmiotem bez serca, bez duszy i życia, tylko czepił się go niby rzep psiego ogona.

Trudno. Są ludzie, którzy jakby się nie wysilali, jakby nie zapobiegali, zawsze ten los okrutny wszystkie wysiłki obraca w niwecz i ani tu nic zacząć, ani nic kończyć. Choróbsko już takie.

Tak było i z Mateuszem. Do czegoby tylko nie przyłożył ręki, o czemby tylko z radością nie pomyślał, zaraz przychodziło jakieś licho i zwykle każda radość kończyła się smutkiem. Czasami, gdy mu już zbrzydło za bary wodzić się z losem, z rezygnacją machnął ręką, zabierał ostatni łach, czy grosz i szedł do karczmy.

Stary karczmarz, gdy tylko ujrzał we drzwiach barczystą postać Mateusza, milczkiem za ladą dolewał do wódki wody, a kiedy Mateusz po paru stopkach kiwał się na zydlu i głowę jego obejmowało błogie uczucie zapomnienia, dobrotliwie podsuwał mu ową chrzczoną wódkę. Czasami Mateusz może i rozpoznawał szacherkę karczmarza, lecz nigdy nie pokusił się na awanturę, machał tylko ręką i powtarzał: „biednemu zawsze wiatr w oczy".

Nieraz buntował się srodze. W przystępach wielkiego gniewu obiecywał, że gdy to się nie skończy, weźmie torby i pójdzie na żebry. A, niechtam!... Bo i poco ma tak nieustanku męczyć się, komu to potrzebne? A los, jakby umyślnie naigrawał się i prześladował zbiedzonego Mateusza. Gospodarka w oczach marniała, więc by wyżywić rodzinę jął się handlu końmi. Tu równie nie znalazł szczęścia; byle parszywy żydzina okpił go byleby konia kupił i cieszył się przyszłym zarobkiem, — po krótkim czasie sprzedawał za pół ceny. I tak każdy zawód kończył się gorzkiem pijaństwem. Nieszczęście chciało, że i żona mu ciężko zasłabła. Legła baba w barłog na długi czas. Dzieciaki markotnie szwędały się po kątach izby. Brudne, obdarte, głodne i nieufne, trwożnie patrzyły kiedy ojciec wracał do chałupy obezwładniony pijaństwem.

— Matejasz! Weź się do pracy. Czy to nie widzisz, że dzieciska głodne... Matejasz, opamiętaj się chłopie! — błagała żona.

— A dyć widzisz, głupia, że się biere.

A tu ani nic zacząć, ani nic skończyć. Choróbsko już takie. W wielki piątek żona mu zmarła; chłopisko rozwiodło rękami. Co tu robić? Święta a tu masz.

Po pogrzebie i stypy nie było. Zresztą zaco miał sprawiać, zabrał się tedy do karczmy i pił na umór całą noc.

W wielkim smutku siedział na chwiejącym się zydlu i zalewał się gorzałką. Przychodzili do niego znajomi i wspolnie narzekali na zły los, za co płacił im szklanicami trunku. Bo jakżeż — dobre słowo nieśli. A kiedy zapłacił karczmarzowi za ostatni łyk wódki, opuścili go znajomi, i pozostał Mateusz sam. A może jeszcze kto był?...

Bezwładną głowę opierał na łokciach, bełkotał jakieś przekleństwa, groził zawzięcie pięścią, to na oślep machał kijem, jakby w ten sposób niby złego psa chciał odpędzić trapiący los.

— Kie licho zawzięło się na mnie?

Siedział mroczny, wpatrzony w chwiejny płomyk świecy, żując bezsilnie gniew.

Jakby w odpowiedzi na gorzkie zapytanie przyszedł i rozsiadł się na pustym zydlu jedyny, wierny kompan. Zły los. Rozsiadł się wygodnie, głowę, jak Mateusz oparł na dłoniach i zielone, złe ślepia utkwił w nieprzytomnej twarzy swej ofiary. Od głowy tej, od całego zjawiska szedł jakiś żar, który niemiłosiernie parzył twarz Mateusza, dławił go gorącem oddechu. Mateusz mrucząc niepewnym, ruchem podsuwał w stronę zjawy pustą szklanicę.

— Naści! Pij!

Po śmierci żony jeszcze gorzej poczęło się dziać; dzieci jedno po drugiem, niby te świeczki pogasły, a o zaniedbaną gospodarkę upomniała się rodzina żony. Cóż miał robić?... Wdział siermięgę, wziął kosztur do ręki i powlókł się w świat. Za nim ślad w ślad podążał stary i nędzny jak on, wierny pies, wlókł się śladami, niby ten zły los.

— A może?...

Z początku próbował Mateusz odpędzić go, lecz gdy psisko uparło się, machnął ręką i poszedł przez szumiące zbożem pola.

Rozchełstana na piersiach koszula ukazywała szmat szarej, wynędzniałej, pokrytej zarostem skóry, wiatr ożywczy i ciepłe promienie jakby się starały tchnąć weń nowe życie, wdzierały się przez dziury łachmanów, smagały i prażyły zlodowaciałą twarz. Na próżno jednak: za nim ślad w ślad podążał wierny, nieodłączny towarzysz — Zły los.

— Ej, Matejasz!... Dokąd to — na żebry?...

— Może i na żebry — nie wiem...

— Na ojcowiznę idź, co będziesz się tak poniewierał...

— Ale?... — pomyślał. — Na ojcowiznę?... A może... — i otucha wielka wstąpiła weń.

„Ojcowizna" — jakby słowo jakieś magiczne podziałało na niego tak, że odrazu poczuł nieprzepartą chęć do życia, odrazu świat wydał mu się weselszy.

— Na ojcowiznę!...

Oczy zabłysły jakimś ogniem żywym i wiatr gorący już mu tak nie doskwierał, nie parzył gorącem oddechu spalonej twarzy, spękanych do krwi ust, — przeciwnie — niósł od tych pól i łąk orzeźwiające zapachy, co niby balsamy kojące sączyły się w zbolałe serce.

Hej, hej! a toć i on był kiedyś szczęśliwy, bogaty. Hej!... Toć ten los obrzydły czepił go się, gdy wychodził między obcych z rodzinnej zagrody. Niby to psisko łaszące się, a złe, tuż za wrotami podniósł się i szedł za nim ślad w ślad, hen, — daleko, pomiędzy obcych.

— Ady idę, tylko nie wiem, czy mnie nie wygnają na żebry.

— Co mają wygnać! Idź, głupi, a upomnij się ino twardo.

— Twardo — powiadacie — hę?... A może i trza?...

— Tak, tak! Idź z Bogiem i pamiętaj rady. Nie matyjaś po drodze, idź śmiało.

— Ale! Idę!... Bóg zapłać za dobre słowo — i łzy mu zapiekły pod powiekami, wielkie jak groch.

— Matejasz!... Naści kawał chleba... Daleka droga...

— Nie trza — mam swój...

Gdzie mu tam było do chleba. A toż niby dziedzic, na którego czeka bogactwo ogromne, szedł dumny, z hardo podniesioną głową, a w piersiach, aż mu grały pieśni anielskie i wszystkie nerwy, co poczynały już tężnieć naraz rozedrgały się radośnie. Łachy, co słońce z nich barwy wypiło, połyskiwały w promieniach niby złote, strzępy potarganej siermięgi niósł tak dumnie, jakby to były rany, wzięte na polu bitwy, zboże, nabrzmiewające ziarnem kłaniało mu się nisko—w pas...

Stary pies zataczając chudym zadem, powłucząc drętwiejącemi nogami, szedł tuż przy Mateuszu. I jemu udzielała się radość gospodarza — zdawało się, że mimo wycięczenia poweselał.

Słońce już było wysoko. Żar, jaki lał się z nieba, utrudniał dalszą wędrówkę, zwalał w kolebiących się, umęczonych nóg, kleił powieki, obiecując słodki sen w rozgrzanych zbożach, w lasach sosnowych, kapiących złotą żywicą.

Zmęczony człowiek i zwierz legli w cieniu przy szemrzącym strumyku.

Mateusz z dna chudej torby wydobył kawałek chleba czarnego, suchego i spękanego niby ta ziemia święta, rozmoczył w wodzie i podsuwając pod pysk zmęczonego psa — przemawiał rzewnie:

— Naści Rudy, na... Od obcych to ale ostatni... Czuć kwasem... Naści!... —

W domu, na ojcowiźnie będziemy jeść słodki, pszenny....

Hej, hej! Na ojcowiznę... Tyla drogi...

Słońce zapadało za siniejący w oddali pas lasu. Gorące, jaskrawe promienie złociły wieżę kościoła, górującego ponad dachami chałup rodzinnej wioski Mateusza. Z kominów ciągnęły w górę opalowe dymy, to stały się nad polami, podobne do olbrzymich baldachimów. Pojedyńcze jodły, pozostałe po starym lesie, — gorzały ogniem. Ludziska spracowani ociężale wracali z pól. Hen, na wygonie, skąd głosy nie dochodziły widział Mateusz uganiających za bydłem pastuchów, wywijających długiemi biczyskami. Raptem... O Boże!... Dzwony uderzyły radośnie i popłynęła spiżowa, potężna melodja, poszybowała po polach rozległych, po pochylonych ku ziemi nabrzmiałych ciężarnem ziarnem kłosach, które chrzęstem powtarzały dźwięklIwe tony dzwonów, popłynęła huraganowa melodja hen, aż dopadła Mateusza jak wichr silny uderzyła w odkrytą nagą pierś, uderzyła z taką mocą, że Mateusz zakolebał się i byłby runął na ziemię, gdyby nie ten kosztur sękaty, co go krzepko dzierżył w dłoniach, a skówę żelazną wbił głęboko w ziemię.

Huk dzwonów niósł się w dal.

Mateusz stał dumny, wyprostowany, by rycerz najprzedniejszy. A dzwony grały radośnie, hukliwa melodja biegła przez pola.

Hej, hej! Grają dzwony! dla niego grają!... Czy to on— Mateusz nie wart tego, czy nie jest synem tej wsi?... A toć przecie wraca do swoich, na ojcowiznę wraca.

Dumnie się wyprostował Mateusz, niby ten pan potężny, tak go radość rozpierała i choć łzy gorące piekły pod powiekami, choć go coś ułapiło za grdykę — nie poddawał się. Lecz cóż to? W miarę zbliżania się do wsi opuszczała go butność i gdzieś na dnie serca poczuł chłód zwątpienia. Czem bliżej był wsi tem bardziej opuszczały go siły, wreszcie, jak kłoda wielgachna zwalił się w przydrożny pył, tuląc do ziemi tej świętej, do tej ojcowizny spieczone wargi.

A zwątpienie rosło.

Nie zważając już na nic, zwlókł się na nogi i opierając się na kosturze wszedł w koryto wiejskiej ulicy.

Psy, poczuwaszy obcych całą zgrają wyległy na ulicę, a za niemi banda dzieciaków gnała z kamieniami i drągami w rękach.

— Huź dziada, huź!... — wrzeszczały.

— Toć przecie swój jestem. — Nie poznajecie?...

Posypał się grad kamieni, lecz Mateusz już na nic nie zwracał uwagi, jeno szybkim krokiem podążał ku kościołowi.

W kruchcie kościelnej rozpięty na krzyżu Chrystus wyciągał ramiona, jakby chciał go wziąć w swoją opiekę, jakby go witał radośnie.

— Ostań, Rudy... Nie godzi się!... — odganiał psa, cisnącego się do wnętrza kościoła.

— Ostań!... Pomodlę się i wyjdę wnet...

W kościele cisza była zupełna. Promienie zachodzącego słońca wdzierały się przez szyby kolorowe, kładąc na obrazy święte jaskrawe plamy. Ksiądz w złocistych szatach powstawszy przed Majestatem Najwyższym — zaintonował:

„Deus in adjutorjum meum in tende..."

Mateusz uczonych tych słów nie rozumiał, lecz sens ich wyczuł zbolałem sercem i stojąc w kruchcie kościelnej bił się w piersi, a serce rozmodlone prosiło błagalnie:

— Zdejm Boże z duszy umęczonej ciężar cierpienia srogiego...

— Tarniska ci daję. Bierz głupi! O miedzę nie postcpię.

— Bracie!...

— Ano, jak tam chcesz!...

— Bracie, należne oddaj...

— A, widzita!?... Należne! A toć się szlałeś bez dziesięć roków. Wszystko moje! Łaskę robię oddając Tarniska.

— Ano, niech tam, niech!...

I wziął Mateusz kawał nieużytku, zarzuconego kamieniami, porośniętego tarniną i głogiem.

— A niech tam i z rezygnacją machał ręką.

— Do sądu idź, prawuj się. Twoje przecie. Niech odda — namawiali ludzie, widząc krzywdę Mateusza.

— Ale?... Do sądu nie pójdę!...

— Głupi!...

Tak się kończyła każda rozmowa; Mateusz do sądu nie poszedł o swoje więcej się nie upomniał.

Ludzie radzili, a czy z dobrego serca? Gdzie tam! — Przez zawiść, przez złość, bo brat Mateusza był pierwszym bogaczem we wiosce.

Mateusz rozpoczął gospodarkę. Żal się Boże.

Najpierw, że to zbliżała się zima, począł budować schronisko. Jesienne, ciemne noce sprzyjały mu w zdobywaniu materjału na budowę. Za dnia obchodził wieś, notując skrzętnie każde miejsce, gdzie leżała deska, belka, lub cegła. W nocy kierowany instynktem zwierzęcia, cicho podpełzał pod zabudowania i ciągnął co się dało, co uważał za niezbędne do założenia gospodarki. Czasami skradziony przedmiot, gdy go sumienie bardzo gryzło, odnosił z powrotem i znękany troską jaką powodował niedostatek, ociężale wracał do swej budy, zwalał się w barłog i spał przez parę dni. Ludziska powiadali, że był ladaco, że gdyby, się wziął pracy mógłby wybudować pałac. Ladaco — myślał z goryczą. A dyć zapracowywałem się, i co mam?... Naharowało się człeczysko i licho wszystko wzięło. A co mi tam... Jeść wyżebrzę, łachy mam — to i wszystko.

— Pewnej nocy jesiennej trawiony głodem wyszedł na poszukiwanie pożywienia. Błąkał się długo, lecz bez skutku. Wracając przypomniał sobie, że to jeszcze ziemniaki nie wybrane, więc nabrawszy w połę tyle, ile mu było potrzeba na przeżywienie się przez parę dni wracał na swoje Tarniska. Wiatr przeraźliwie gwizdał przeciągle i toczył przed sobą czarne cielska chmur, które gnały gdzieś na wschód i ociężałe brzuszyska rozszarpywały o kolce tarnin i głogów, deszcz monotonnie pochlapywał i wydzwaniał po konarach drzew melodje, podobne do zawodzeń dziadów cmentarnych.

Mateusz zmęczony i głodny pośpieszał do swej budy.

— Nakarmię Rudego — myślał uradowany zdobyczą, choć mu ciążyła bardzo, choć wydobywał ostatek sił, by donieść ją.

— Biedaczysko! Zgłodu ledwo się porusza. Toć to jedyny mój przyjaciel... Gdy wchodził pomiędzy krzaki tarnin, usłyszał żałosne kwilenie dziecka. Nieprzypuszczając jednak, by rzeczywiście było to dziecko, zdjęty zabobonnym strachem szybko podążał w stronę tlejącego ogniska. Płacz dziecka nieustawał. Ciekawość Mateusza była jednak silniejsza od strachu, więc ostrożnie, uzbrojony w zaklęcia podszedł w stronę skąd dochodziło kwilenie.

— Jezusie!... A toć dziecina malutka...

— Mateusz skoczył do ogniska, chwycił największą głownię i świecąc nią nad głową podszedł do ruchomego tłumoczka.

W nędznych szmatach leżało posiniałe maleństwo. Zimna woda spływała po jego nagiej główinie, po twarzyczce pomarszczonej i sinej i wlewała się w otwarte usteczka. Dziecko krztusiło się i prychało niby kocie wrzucone do wody. Dwie piąstki maleńkie, zaciśnięte kurczowo, ciągnęły kawał brudnej, mokrej szmaty. Oślepione płonącą głownią, zdziwione niezwykłem zjawiskiem, wytrzeszczało przestraszone oczęta i drżało nerwowo.

— Jezu! Jezu!... — szeptał Mateusz pochylony nad dzieckiem.

— Latawica jakaś... — klął strasznie i przejęty zdarzeniem, zmęczony i zgłodzony drżał całem ciałem. Kwilące dziecko wziął na ręce i poszedł do budy.

— Rudy, stawaj! gościa mamy...

Usiadł przy ognisku, by ogrzać kruszynę, lecz ciepło na zziębnięte ciałko podziałało jeszcze gorzej; dziecko takich dreszczy dostało, że Mateusz aż się przestraszył. Prędko, prędko drżącemi rękami jął ściągać ze siebie łachy i otulać w nie „znajdę". Kiedy dziecko ogrzało się, poczęło znów kwilić żebrząc o posiłek. Dwie małe piąstki gwałtownie wpychało do buzi głośno cmokając.

Mateusz zbladł.

— Co mu dam jeść, — ziemniaki? — pomyślał.

Trudna rada — nie było wyboru. Do płonącego ogniska wkładał najmniejsze sztuki, a gdy po krótkim czasie były gotowe, białą, sypką masę rozcierał w palcach i wkładał do otwartych, małych usteczek. Dziecko łapczywie łykało co Mateusza przyprowadzało do wielkiej radości.

— Choć Rudy, chodź!... — zapraszał leżącego na barłogu psa. Posłuszne psisko zwlokło się i podpełzło do dziecka. Kudłaty łeb pochylił się nad szarym zawiniątkiem, badając jego zawartość. Smutne źrenice psa spotkały się z wystraszonemi oczami dziecka. Rudy, jakby rozumiejąc nieme przerażenie dziecka, ostrożnie lizał jego blady policzek, chcąc w ten sposób zadokumentować swoją przyjaźń.

Minęło sporo lat. Przez ten czas nikt się troszczył, nikt nie pamiętał nawet, że na skraju wsi, za wrotami wiejskiego społeczeństwa tliło ludzkie życie, przepalone niepowodzeniami, strawione gorączką niedoli. Nikt nie zachodził do chaty Mateusza, a i on, gdy wyruszał do pracy, to tak chyłkiem skradał się w kierunku szeroko rozlanych wód błękitnych, by nie spotkać kogo ze znajomych. Czasami tylko musiał znosić takie upokorzenie, a mianowicie, wtedy, gdy szedł do kościoła, lecz i tu trzymał się na osobności. Gdy podczas procesji chłopy parły naprzód i każdy chciał zająć poczesne miejsce przy księdzu, kroczącym z powagą pod baldachimem, Mateusz pozostawał zawsze w tyle, spokojnie idąc za tłumem, bacząc tylko na „swego chłopca", który właził na dzwonnicę, by nacieszyć się ciągnięciem za serce dużego dzwonu, który wydawał potężne huczenie.

Zawsze, kiedy Mateusz szedł do kościoła—odprowadzał go Rudy i pozostawał przy bramie.

W chacie Mateusza był już jaki — taki dostatek, a i sam Mateusz poweselał, nabrał chęci do życia. Zły los — jak chwalił się przed sobą, opuścił go.

Teraz drżał tylko o los swego wychowanka. Pracował od świtu do ciemnej nocy byleby zarobić trochę grosza, byleby zabezpieczyć mu byt. Gdy przychodził wieczorami ciężko spracowany, przeliczał zarobiony grosz, a potem marzył o tem, że kupi Janowi wielką gospodarkę...

Pewnego razu Mateusz ciężko zaniemógł. Ciężko dysząc legł w barłóg. Jan począł zbierać się do drogi i z wielką trwogą patrzał na „ojca".

— Idź sam!... Ja nie mogę — siły nie mam...

Jan skinąwszy głową i wyrzekłszy „ostańcie zdrowi" poszedł przez pola, do wód błękitnych, co niosły ładowne barki do wielkich mórz. Nikt go nie odprowadzał. Stary pies, leżący na progu, leniwie podniósł ociężały łeb, zerknął nań krwawemi ślepiami i pozostał na swoim miejscu, wygrzewając na słońcu poszerszeniały grzbiet.

Minęło sporo czasu — ludzie powrócili z flis...

— Nieszczęście!... Jezusie kochany...

— Idź Rudy!... Idź... Szukaj go...

Stare psisko podwinąwszy pod się ogon żałośnie skomlało i kręciło się po izbie.

Gdy stary prosił i wskazywał ręką drzwi, Rudy podpełzał na brzuchu, przybliżał pysk do twarzy umierającego i jakby przepraszając, że nie mógł pojąć rozkazu, lizał jego suchą, spieczoną gorączką twarz, kładł łapy na ciężko podnoszących się piersiach, a w starczych jego oczach kręciły się ciężkie, nabrzmiałe łzy.

— Rudy!... czyś ty sprowadził na mnie... ten.. zły los... czyś sam nim jest?... — gorączkowo szeptał ostatkiem tchu, głaszcząc kudłaty łeb, który mu się wydał podobny do głowy zjawy, widzianej w karczmie.

— Ślepia zielone... błyszczące...

Drżący wpatrywał się w oczy psa. Zimny pot kropelkami występował na czoło, a mgła przedśmiertna powoli zasnuwała zmęczone oczy; nadchodził kres męczarniom. Mateusz drżący szeroko rozwarte źrenice wpijał w psa, jakby gwałtownie chciał zbadać dręczącą tajemnicę, lecz nie zdążył; głowa bezwładnie opadła na posłanie, a w oczach zabłysły dwie łzy nieruchome.

Nad stygnącym trupem pałały niby gromnice oczy wiernego psa.

# KĄCIK ROZRYWKOWY

*Pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów.*

WSZYSTKIM NASZYM PRZYJACIOŁOM I ZWOLENNIKOM ROZRYWEK UMYSŁOWYCH PRZESYŁAMY SERDECZNE ŻYCZENIA

„WESOŁYCH ŚWIĄT"

I „DOSIEGO ROKU"!

*ZAKOŃCZENIE IV KONK. KWART.*

Termin nadsyłania rozwiązań *trzytygodniowy*, licząc od daty otrzymania numeru.

9. LOGOGRYF ŚWIĄTECZNY (6 pkt.)

Ku północy *trzecie* było,
Gdy jasnością rozświeciło —
*Szósta* łuna blaski sieje,
*Piąty* zdumion: co się dzieje
Na niebie?
Oto anioł *ósmy* leci
Skąd ta gwiazda jasna świeci,
Głosząc *mendel*[1]) cud-nowinę,
Że Bóg zesłał Swą Dziecinę
Na ziemię.
Lud pasterski *dziewięć* bieży
Do stajenki, tam gdzie leży, —
By powitać Dziecię Boże,
Pokłon *dziesięć* Mu w pokorze
W Betlejem.
Ewa w raju gdy zbłądziła,
W grzechy ludzki ród spowiła, —
Lecz Bóg przyrzekł w Swej dobroci,
Że *trzynaste* nam przywróci
*Czternaście*.
Na świat *tuzin* zesłał Syna,
By zmazana była wina,
Wyrwać z *siedem*[2]) piekielnego
Ród ludzki.
Dziś więc wielka *jedenasta*,
Że Syn Boży na świat nastał, —
Dziecię *czwarte* powitamy,
I *szesnastą* Mu oddamy
Tam w żłobie!
A więc witaj Jezu Mały,
Co Cię Nieba nam zesłały!
Witaj Matko, *Pierwsza* Święta,
Coś bez *drugiej* jest poczęta,
Jedyna!

---

[1]) *piętnastemu* — [2]) *siódmego*

W miejce liczb należy wstawić odpowiednie wyrazy, złożone z podanych niżej sylab. Pionowy rząd trzeci liter tych wyrazów, z góry na dół odczytany, da rozwiązanie drugiej części logogryfu. Pierwszą częścią rozwiązania jest wyraz „Kolenda", którą tworzy budowa strofek.

*Sylaby:* bia, bo, brze, cześć, do, dość, dro, dy, gie, gnia, ka, każ, ko, ły, na, nie, no, no, o, pan, prze, ra, świa, to, tu, wart, wiel, wo, zło, zma, zy, żyć.

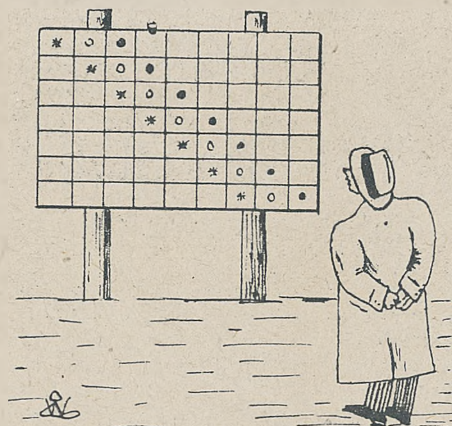
*M. Waksmundzka, czł. Kl. Sz.*

10. SZARADA (4 pkt.)

*Raz-drudzy* ludzie żyli szczęśliwie
W prostocie wielkiej, niefrasobliwie.
Niewiasty wówczas nie znały mody,
I życie wiodły na wzór przyrody.
Dziś z niewiast żadna, nawet i *cała*
Takiego życia już by nie chciała,
Bo dziś jest postęp, inne są czasy...
Dzisiaj brokaty, lamy, atłasy!
W postępie czasu dusza zbolała
Przesyt już czuje, niknie skarlała
Jak *czwarta-pierwsza-czwarta*, bez lotu,
Bez chęci życia i bez polotu.
Dla niej są obce podniebne chmury,
Bo nie jest w stanie wznieść się w lazury.
Zeschła w przesycie jak *czwarty-trzeci*,—
Na samolocie chyba poleci...
Lecz moja *cała* pannica hoża,
Zdrowa, dorodna, wdzięczna, jak róża,
W zgodzie z postępem, służka natury,
Leci w obłoki ponad lazury...
Czasem jej *dwa się* piękny młodzieniec,
Czasem się *przy-dwa* mirtowy wieniec...
Marzy się welon, sukienka biała —
Bo z krwi i kości jest moja *cała!*...

*H. Mokrzycka, czł. Kl. Sz.*

11. ŁAMIGŁÓWKA (3 pkt.)



Z podanych niżej sylab ułożyć siedm wyrazów dziewięcioliterowych i wstawiając po literze w kratkach, wpisać je do figury tak, aby w każdym wyrazie znalazły się po 3 litery jednakowe, mianowicie w kratkach oznaczonych gwiazdkami oraz białymi i czarnymi punktami, które są odpowiednikami danych liter.

Dla ułatwienia podajemy znaczenia niektórych wyrazów:

2 — piosnka (romanca); 4 — gorączka, (rodz. febry o perjodycznem zjawianiu się i znikaniu wyrzutów skórnych); 6 — imię męskie.

*Sylaby:* an, cja, dy, eg, gja, gwa, ka, kan, kon, le, lo, ma, na, plan, rant, sant, stan, ta, te, to, ty, ty, wer, zan.

*E. Wieliczko, czł. Kl. Sz.*

*ROZWIĄZANIA ZADAŃ*

*drugiego Konkursu Kwartalnego (c. d.)*

5. SZARADA: *Cietrzewie.*

6. ZADANIA MATEMATYCZNE:

a) *Leśnik za lat. 14 będzie miał:*
$36 + 14 = 50$ *lat;*
*leśniczanka zaś:* $14 + 11 = 25$ *lat.*

b) *I. p. 10 robotn. po* $4\frac{1}{2}$ *zł.* $= 45$ *zł.*
*II. p. 15 robotn. po 4 zł.* $= 60$ *zł.*

*razem 25 robotników 105 zł.*

7. DOMYŚLANKA: *Nareszcie mamy słoneczko.* (Wyrazy: napis, atyka, robić, epika, skarb, zmrok, cnota, igrać, ekran, młódź, akord, mszał, ygrek, skraj, łupić, ocena, norka, edukt, całun, zmowa, kmieć, obieg.) P. Am. Badowska z Grzymały, domyślankę rozwiązała miłym wierszykiem:

*Nareszcie mamy słoneczko!*
W słowach tych radość rozbrzmiała:
Wita je pieśnią ptaszyna,
Wita przyroda je cała!
Wzbija się wyżej i wyżej...
Sieje deszcz szczęścia różany,
Otula przędzą nadziei
I goi nam wszystkie rany,
O jasny promieniu świata,
Co śmiejesz się ranka każdego
Do kwiatów, listka i trawki, —
Śmiej się do jutra naszego!..

8. LOGOGRYF: *Echa Leśne.* (Wyrazy: mieni, mocno, echom, graby, malin, bieli, baśni, senny, wieki).

9. REBUS: *Jak gadali starzy, tak i młodzież gwarzy.* (Jak — gad — a — list — ar — Zyta — Kim — łodzie — ż — g — war — zy).

Listę uczestników i wynik losowania podamy w numerze następnym.

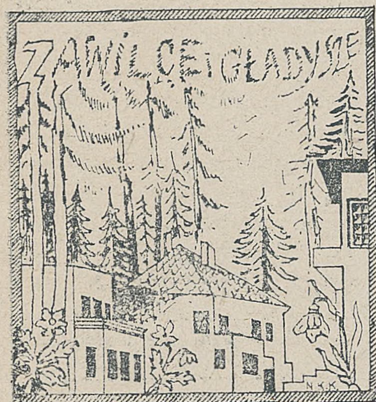
SKRZYNKA POCZTOWA.

*WP. W. Błotnicki, Lasy Lub.* Znakomicie! Witamy z radością — oby na stałe tylko.

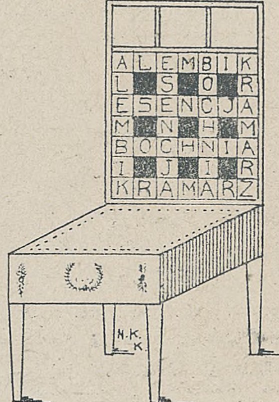
„ROZRYWKA" (organ Klubu Szaradzistów) najtańszy miesięcznik specjalnie poświęcony rozrywkom umysłowym i sprawom klubowym. Numer styczniowy opuścił prasę. Prenumerata kwartalna zł. 2.40, dla członków zł. 2.—. *Żądajcie numerów okazowych!* Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Kopernika 42 m. 13

*M. Sł.*

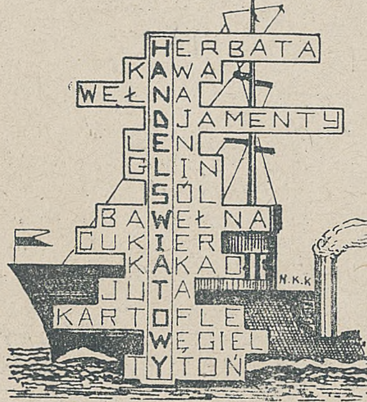
1. SZARADA.



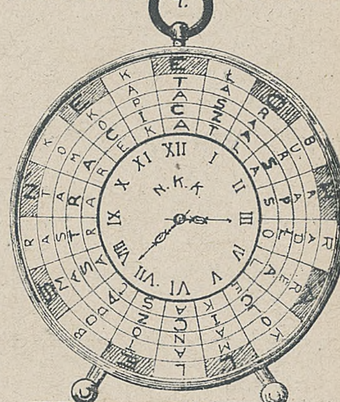
2. KWADRAT MAGICZNY.




3. ARYTMOGRAF.




KRZYŻÓWKA 4. KOŁOWA




Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI

Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

# HUMOR

OFIARA PRZEKONAŃ.

— Ta Iksińska stale cierpi z powodu swoich przekonań.

— Dlaczego?

— Bo jest przekonana, że może nosić małe buciki na swoich dużych nogach.

NA LEKCJI RELIGJI.

— Gapski, wymień mi wszystkie zakony średniowieczne we Francji.

Gapski namyśla się, nie wie. Uczynny kolega podpowiada:

— Chastreux, Benedictin...

— Chartreux, Benedictin, Piperment... i Gapski wyliczył wszystkie likiery jednym tchem.

NA STRZELNICY.

— Dlaczego Ofermanowicz nie zamyka lewego oka przy strzelaniu do celu?

— Dlatego, panie sierżancie, żeby lepiej widzieć tarczę i przez to lepiej wycelować.

MILI SĄSIEDZI.

— Dlaczego u was dzisiaj taki harmider w domu?

— Bo nasza pani tłucze tłuczkiem od moździerza...

— Cynamon, czy cukier?

— Nie, tylko naszego pana po łbie.

NIEZAWODNY WSKAŹNIK.

— Czy pan hrabia jest w domu?

— Pan hrabia przed godziną wyjechał na przejażdżkę konną, ale prawdopodobnie za chwilę będzie w domu, bo koń już wrócił.

JAK MARZENIE.

— Monius, mnie mówił Fiszman, że ja w tem kapeluszu wiglądam, jak marzenie!

— Tak, Rebuchna, wiglądasz, jak marzenie ściętej głowy...

MOŻLIWE.

— Tatusiu, dlaczego malarze i poeci zawsze noszą takie długie włosy?

— Dlatego, moje dziecko, że żaden fryzjer nie chce strzyc zadarmo.

NASZE POCIECHY.

— Dziadziu! Niech dziadzio wyciągnie trochę nogi!

— Dlaczego?

— Bo tatuś mówił, że jak dziadzio wyciągnie nogi, to nam będzie lepiej.

RZECZYWIŚCIE NIE MÓGŁ.

Na balu u państwa Y, pan X nudzi się niemiłosiernie.

— Panie, — mówi do jakiegoś jegomościa, stojącego obok siebie, — jak panu tu się podoba?

— Tak sobie! Nie nadzwyczajnie.

Uradowany Y woła:

— Wie pan, chodźmy stąd! Pójdziemy sobie gdzieś na kolacyjkę, bo widzi pan, ja się tu strasznie nudzę: baby obrzydliwe, towarzystwo nudne, kolacja też podobno zapowiada się nie nadzwyczajnie...



— Jakiem prawem ośmielił się pan kopnąć mojego psa! Czy tylko dlatego, że on pana powąchał?

— A pan widocznie chciałby, żebym zaczekał, aż mnie to dzikie bydlę skosztuje?!

— Z chęcią wyszedłbym, ale nie mogę!...

— ?...

— Bardzo mi przykro... Ale ja jestem gospodarzem tego domu.

NIE UDAŁO MU SIĘ.

Do bram nieba puka jakiś mizerny człowieczyna.

— Byłeś w czyściu? — pyta święty Piotr.

— Nie byłem, odpowiada pytany, ale byłem na ziemi żonaty...

Święty Piotr otwiera wrota i wpuszcza do raju ową duszę, ale w tej chwili przed bramą zjawia się inna dusza i bardzo pewnym głosem rzecze:

— Wpuść mnie, o Święty! Ja byłem dwa razy żonaty!

Ale Święty Piotr ostro zawołał:

— Wynoś mi się na cztery wiatry! Cóż ty myślisz, że tu jest przytułek dla warjatów?!

I zatrzasnął bramę niebieską.

ZNALAZŁ SPOSÓB.

Pan X skarży się przed przyjacielem.

— Mam nowego sekretarza i teraz ilekroć przychodzę do domu, zawsze zastaję go z moją żoną — siedzą na kanapie i flirtują!

— Więc usuń sekretarza.

— Nie mogę. Bardzo solidny pracownik.

— No to rozwiedź się...

— Ależ, mój drogi, co za pomysł! Ja ją kocham!

Po jakimś czasie pan X zjawia się ponownie u przyjaciela i już od progu woła uradowany:

— Znalazłem sposób na moje zmartwienie!

— Cóż, wyrzuciłeś sekretarza?

— Nie...

— Rozwiodłeś się więc...

— Ależ... Sprzedałem kanapę!

# ODEZWA
## TOWARZYSTWA POMOCY DZIECIOM I MŁODZIEŻY POLSKIEJ W NIEMCZECH

Rodacy!

*Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, obchodzone uroczyście we wszystkich domach, jak Polska długa i szeroka. Nie zapomnijmy w tym momencie o braciach naszych w Niemczech, zwłaszcza zaś o młodem pokoleniu, które najbardziej potrzebuje serdecznej opieki, ciągłej pmięci i gorącego uczucia. Niechaj opłatek, książka polska, czy też inny drobny podarek gwiazdkowy z Polski będzie dla tych najmłodszych widomym znakiem pamięci społeczeństwa w kraju, niech przyczyni się do wzmocnienia węzłów duchowych między Polakami w Niemczech a Macierzą, niech obwieści światu tę wielką prawdę, że wszyscy Polacy są dziećmi tej samej Matki - Ojczyzny.*

*Wszelkie najdrobniejsze nawet ofiary na gwiazdkę dla dzieci polskich w Niemczech — w naturze czy w gotówce — prosimy składać w biurze Towarzystwa Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech, Waraszwa, ul. Hipoteczna 8, tel. 11-33-28. Konto czekowe w P.K.O. 19.818.*

*Zarząd Towarzystwa Pomocy Dzieciom i Młodzieży Polskiej w Niemczech.*

Prezes:
*(—) Dyr. Bronisław Hełczyński,*
Szef Kancelarji Cywilnej Pana Prezydenta R. P.

Sekretarz Generalny:
*(—) Mieczysław Zaleski,*
Delegat Dyrekcji Związku Obrony Kresów Zachodnich.

**Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł. 40 gr.**
**Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".**

**REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 13, TELEFON 9-44-41**

2801 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel. 644-59.